Solarski

ANEGDOTY

I

FRASZKI.

ANEGDOTY

I

FRASZKI

DOZNANEJ USYPIAJĄCEJ WŁASNOŚCI

Przez Komitet Medyczny sprawdzone i approbowane.

Drużyna zbierana

PRZEZ

JOHNA OF DYCALP.

WILNO.

NAKŁADEM RUBENA RAFAŁ. KSIĘG. WILEŃ.

w Drukarni M. Zymelowicza Typografa.

1847.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.
Wilno 1846 roku Listopada 30 dnia.

Cenzor, Jan Waszkiewicz.

1.

Na poczerniałém, niegdyś różnobarwném oknie jednej gotyckiéj świątyni, dotąd jeszcze daje się czytać następny napis:

„Ofiara i pamiątka Ur. Antoniego Grzymałły rotmistrza kawalerji narodowej, *Tutora* i opiekuna małoletniego JP. Ignacego Zaremby, stolnikowicza województwa b., uczyniona łącznie z JP. Ignacym Zarembą, *sumptem* zaś rzeczonego małoletniego Stolnikowicza.“

Dla ocalenia napisu, który z każdym dniem staje się nieczytelniejszym, i dla niejakiego podobieństwa pracy, jaką sobie zadaliśmy, do heroicznéj *ofiary Ur. Antonie-*

go Grzymałły, niech nam będzie wolno użyć tego napisu za wstęp do naszéj *zbieranéj drużyny*.

2.

Skromny śpiewak mówił o sobie: — Już to do dobrego śpiewu to może mi i daleko: ale czuję, że mam mocne piersi i śpiewam nie źle.

— A ja, Adasiu — rzekł mu brat starszy — muszę mieć bardzo słabe piersi: bo zawsze mi się źle robi od twojego śpiewu.

3.

— Panie Majstrze! — zawołał żałośnie czeladniczek — wszakże to ja oślepłem! nie widzę ani odrobiny masła na moim chlebie!

Majster ofuknął gospodynią za zbytnią oszczędność, i kazał aby dodała chłopcu porcją séra.

— Panie Majstrze! — dało się słyszeć znowu.

— Cóż tam jeszcze?

— Już widzę, panie Majstrze! widzę tak dobrze, że mógłbym przez sér przeczytać najdrobniéjsze pismo.

4.

— Patrzcie tylko państwo jak pilnie Azorek przypatruje się swojemu cieniowi! Co też się to mu zdaje?

— A co Pan rozumie! — rzekł jeden z obecnych — I psy nie są bez wyobraźni! Ja sam miałem pudla, który raz przez cały tydzień wyobrażał sobie, że jest szpicem!

5.

— Ta sentymentalność w pudlu bynajmniéj mnie nie dziwi! — odrzekł Pan H. Jest to źwiérzę niepoliczonych zalet. Pudel zna nawet najpiękniéjszą, z cnót naszych *ludzkość*, chociażbym to w nim raczej ośmielił się nazwać *psiością*, jeślibyście mi państwo dali słowo, że nie wydacie mię przed Panem K. nim ukończy druk swojéj *najpoprawniéjszej Grammatyki*. Ale grammatyka na stronę, a rzecz tak się miała. Przed dwuma laty mieszkałem na jedném piętrze i w ościenném sąsiedztwie ze sławnym naszym chirurgiem panem * Wchodzę raz do niego i zastaję zwijającego się błyskawicznie jak zwykle, nad operaciją. Chciałem wyjść

natychmiast, by mu nie zawadzać, ale Pan * dostrzegł mię i zawołał: „Wróć się—bo, musiałeś, jak uważam nie dójrzeć pacijenta.“ W rzeczy saméj, nie miałem tą razą serca, rzucić nawet okiem na smutne poręczowe krzesło, które nazywałem zawsze prokustowém. Jakież było moje zadziwienie, gdym ujrzał najspokojniéj siedzącego na krześle białego pudla, któremu nasz doktor zawijał i zamykał w leszczotki złamaną nogę. — „Zastałeś mię nad praktyką zupełnie miłosierną! — mówił śmiejąc się Pan * — biedny ten pudel bez niczyjego polecenia, spotkał się ze mną, i musiał zapewne upatrzyć w mojéj osobie coś niepospolicie doktorskiego, bo na zawołanie przykulał za mną aż tu na piętro. Musiałem mu oddać moję boleśną usługę, przez samę wdzięczność za okazaną mi ufność: a ty, zły człowieku co tyle wygadujesz na medycynę, powinieneś mi teraz przyrzec: że przynajmniej cały tydzień powstrzymasz się od bluźnienia przeciw naszéj archandrji!“

— A jak mi to zaszkodzi? — spytałem tonem pacijentalnym.

— To gadaj zdrów sobie, nim kiedyś nie dostaniesz się w moc naszę. Ale podziel się

ze mną dobrym uczynkiem i weź tego psa na czas kuracji do siebie: Dobre to też zwierzę, i warto aby się do nas przywiązało: ale gdzież znów taki jak ja włocęga przyswoi i zobowiąże sobie choć pudla!“

— Rekomendowałem panu zawsze i teraz rekomenduje tyle świetnych... poczekaj — bo Doktorze!...“

Ale chirurg mój już był na ulicy, i poturkotał z Bogiem. Pacijent został przy mnie. Przegzaminowałem go trochę: Osobliwość! Jeśli mu czego brakło, to chyba może jednéj tylko łaciny. Gdym go jednak nazwał *prudensem*, i to przyjął. Z resztą podać i odnieść com tylko kazał, zawołać chłopca, zbudzić mię jeślim zasnął nie zgasiwszy świécy — słowem całą pokojową służbę umiał na pamięć. Od pierwszych dni polubiłem go bardzo. Z tém wszystkiém jeżeli mi on z oczu wypatrywał myśli, i potrafił wkrótce na podziałce mojego humoru czytać tak, że zdawał się zgadywać jak też mi którego wieczora dopisał preferans, to nawzajem mogę sobie oddać świadectwo, żem także zajrzał trochę w głąb tej tajemniczéj istoty. Widywałem go nieraz w takiém jakiémś smutném i melancholijném usposobieniu, jak gdyby

miał wielkie zgryzoty. Z resztą, myślałem sobie, może też to jest i skutek kuracji — która szła swoją drogą.

Po czterech tygodniach Pan * odjął leszczotki, obejrzał chorą nogę zdumiał się nad szybkim processem zrośnienia się, kości, i powiedziawszy coś z tego powodu na pochwałę natury źwierzęcej, oddał pacijentowi czwartą nogę — do wiadomego użycia. Co też to było skoków, susów, wisku, i radośnego skomlenia! otańcowawszy nas obu, prudens w pół-otwarte drzwi wybiegł na schody, i w oka mgnieniu wypadł na ulicę.

— Popędził do Redakcji — rzekłem mojemu doktorowi — aby ci wygotować na piątek uroczyste podziękowanie. Szkoda że nie udał się do którego z młodych *gojniczych*, (jak was przepolszczył Przybylski), bo ci mają gotowe już na ten cel aryngi, drukujące się czasem bez wiedzy pacijentow, a niekiedy nawet w imieniu takich osób, których familje od dwuch wieków w naszym kraju wygasły. Z tém wszystkiém minął dzień, jeden, drugi: pudla niema. Nadszedł wreście uprzywilejowany piątek, za nim środa: oba z Panem * wertowaliśmy pilnie dodatki do kurjera: żeby choć słowo o podziękowaniu!

Aż dziesiątego dnia, o godzinie dziewiątej z rana, kiedyśmy razem z Panem * pili herbatę, słyszymy na schodach i wnet pod samemi naszemi drzwiami taką wrzawę, jak gdyby z całej ulicy szewczyki na naszych schodach gotowali się do czubów. Otwieram drzwi niecierpliwie — i cóż Państwo powiecie?... na czele wbiega nasz niewdzięczny prudens, a za nim *sztyki*, *sztyki*, ośmiu psów kulawych, ślepych, skoszlawionych, zbolałych — i wszystko to nam do nóg!

— Ośmiu psów!! co Pan dobrodziej powiadasz! — zawołał młody malarz, mimowolnie powstawszy. A to wyborny byłby obraz!

—A zapewne! odpowiedział Pan H. s krwią najzimniejszą.

6.

— Dla czego to w dni radośnych dla kraju obchodów, strzelają z dział sto i jeden raz — a nie sto równo?

— Zda mi się, dla tego — ktoś odpowiedział — że po stu wystrzałach, nic już nie znaczy artyllerzystóm wystrzelić raz jeszcze, na wiwat!

7.

Doktor K. lękał się otyłości. Przeciwnie Pan B. chociaż dobrego był zdrowia, zawsze o cóś siebie oskarżał i każdej dobrej tuszy ledwie, że nie widocznie zazdrościł.

Raz, przy obiedzie, doktor K. dał się słyszeć, że całe nie rad jest z siebie, i że chętnie zamienił-by swą kompleksiją z Panem B.

— Słuchaj B. — zawołał Kapitan G. do siedzącego nieco opodal Pana B. — Winszuję ci! wszakże to nasz Doktor chce pomieniać się z tobą na kompleksią!

I nie litościwy przydał:

— Tak mu już widać obrzydło życie!“

8.

Gdy Napoleon wjeżdżał do Poznania, tameczni żydzi dla różnicy od Polaków i Niemców, wyjechali na spotkanie Cesarza w ubiorach tureckich.

Nie bój się, Najjaśniéjszy Panie! — zawołał jeden srogi basza, przyskakując do cesarskiego pojazdu — to nie Turcy! to wszystko my! poznańscy żydzi!

9.

Znakomity znawca języków starożytnych, pełen dowcipu P. L. Courier, usilnie nale-

gany o zdanie względem nowego przekładu Juvenalisa, odpisał tłumaczowi: „Przekład pański, o ile przekonać się mogłem, zaleca się jak największą wiernością. Wszystkie miejsca niezrozumiałe dla mnie w oryginale, znalazłem takiémiż zupełnie i w jego tłómaczeniu.“

10.

Uważano z zadziwieniem, że znany z nieużytości skępiec słuchał kazania: *o miłosierdziu i jałmužnie*, z pełnémi łez oczyma.

— Jakże dzisiéjsze kazanie? — spytał go ktoś, na wyjściu z kościoła.

— Tak piękne, tak przekonywające, tak czułe, że gotowbym od dziś — dnia — sam prosić jałmužny!

11.

Żona znakomitego urzędnika, rzekła raz do żony urzędnika niższego bez porównania:

— Sniłaś się mi dziś Pani!

— JW. Pani tak dobra — odpowiedziała uszczęśliwiona — że mi robi tyle zaszczy-

tn. To owszem, moim powinno było być obowiązkiem...

12.

W chwili gdy Fryderyk W. przejeżdżał mimo jednéj ze szkół Berlińskich, wysypało się na ulicę ze zwykłą wrzawą szubrawstwo, i przerwało myśli Monarchy.

— Do szkoły! próżniaki! — rzekł król niecierpliwie.

— Patrzajcie tylko panowie! — zawołał jeden berbeć za odjeżdżającym — a też on nie wie, że skończyły się lekcje! A zdaje się król!

13.

Gdy podano wreście znamienite stare wino, do którego ciągle podczas obiadu odwoływał się gospodarz, okazało się, że jest kwaśném i nie do picia.

Pomimo to, gospodarz nie przestawał powtarzać: że to jest stare, arcy stare wino.

— Tak stare — przydał, wtórując mu niby Pan S. — że aż zdziecinniało!

14.

Sławny prezydent Malesherbes, skazany na śmierć przez Robespierra, zachował do ostat-

niej chwili całą moc ducha. Spotknąwszy się na dziedzińcu więzienia, gdy już był prowadzonym na rusztowanie, rzekł z uśmiechem: — Zła przepowiednia! na mojém miejscu wróciłby się każdy Rzymianin i przez cały dzień nie wyszedłby z domu.

15.

Göthe rozmawiał raz z młodym uczniem Jeńskiego uniwersytetu. W tém wszedł gość nowy. Gospodarz pośpieszył na jego spotkanie, posadził na swojém miejscu na kanapie, obok pierwszego gościa, a sam usiadł na krześle. Uczony Jeński ani się ruszył.

— Muszę też panów poznajomić z sobą — rzekł Göthe z uśmiechem — Oto jest Pan L. student z Jeny — a to jego wysokość panujący książe wejmarski!

16.

O parę stacji, od Berlina, wsiadł do dyliżansu młody jakiś jegomość z orderową wstążeczką u fraka, i zajął jedyne pozostałe miejsce na przedzie. Po niejakim czasie, powiodłszy raz i drugi badawczém okiem po towarzyszach podróży, i upatrując znać cóś szczególniéj potulnego w siedzącym na prze-

ciw siebie nie młodym już człowieku, rzekł do niego: — „Jestem von * wojenno-cywilny urzędnik tutejszego obwodu. Przyznam się Panu, że nie przywykłem nigdy siedzieć na przedzie karety. Proponowałbym mu zatém zamianę miejsca, a w potrzebnym razie możesz Pan być pewnym, że potrafię to sobie przypomnieć.“ W rzeczy samej, wezwany z największą powolnością ustąpił swojego miejsca. W ciągu drogi, urzędnik był bardzo wesoł, rozmówny, dotykał wielu rzeczy uczonych, i jakby dla wynagrodzenia staruszka, obracał się do niego najczęściéj, i objaśniał mu w najpopularniéjszy sposob różne pytania naukowe. Gdy nakoniec dyliżans zatrzymał się w miasteczku * gdzie wojenno-cywilny urzędnik oświadczył, że pozostanie, staruszek rzekł doń z ukłonem:

— Chciéjże mię Pan zachować w swojéj łasce i pamięci!

— Proszę mi tylko powiedzieć swoje nazwisko! — rzekł urzędnik biorąc się do pugilaresu.

— „Alexander Humboldt.“

17.

Młody członek francuzkiéj izby deputo-

wanych zaczął swą mowę od słów: „Ze wszystkich istot źwierzęcych, najnieszczęśliwszy człowiek.“ ... — Ale rzuciwszy okiem po zgromadzeniu, stracił zupełnie śmiałość, i uciął.

— Prosimy o wydrukowanie mowy! — dało się słyszeć w izbie.

— I z portretem autora! — dodał głos inny.

18.

Naczelnik jednego zakładu, opuszczając swe miejsce, czytał przygotowaną pożegnalną mowę jednemu z członków tegoż zakładu. Odczytując słowa, któremi żegnał swych pomocników, rzekł do swojego słuchacza:

— Wszystko to inaczej się wyda! Bo ja w tém miejscu będę płakał. Rozumie Pan?

— Nie, tu Pan nie płacz! w tém miejscu my będziemy płakali!

— Więc bardzo dobrze! kiedy tak, to ja sobie oznaczę to miejsce krzyżykiem, i poczekam aż asaństwo skończycie.

19.

— Gorszę się i nie poznaję Pani. Chustka jéj była nam dotąd żaglem i kotwicą.

Wiedzieliśmy kiedy zaczynać płakać, kiedy kończyć: a na dzisiéjszéj trajedji upłakaliśmy się, jestem pewny, w wielu miéjscach najfałszywiéj: za wszystko to, cięży odpowiedzialność na Pani, albo na tym, kto jéj serce zatwardził na dzisiaj.

— Dobry Panie B. jakże mi było płakać, sam osądź, kiedy dziś jeszcze mam być na balu!

20.

Zapalacz ulicznych latarni potrącił przypadkiem jakiegoś słusznego cienkiego pana, i splamił mu suknie. Besztany za to ostatniemi słowy, biedny człowiek rzekł spokojnie: — I Panie! trochę tłustości ci nie zaszkodzi.

21.

Smutna to dla sławy pisarzy, niesprawiedliwość jakaś losu, że ich pieśni i książki, chociaż nawet zejdą czasem do klass niższych, to w tém przejściu nigdy nie dochowują imion autorów. Tak, że i w tym razie sprawdza się znamienity wiersz Syllera: „iż powinno zaginąć w rzeczywistości, co na zawsze ma żyć w pieśni.“

Was unsterblich im Gesang soll leben,
Muss im Leben untergehen.

Szczęśliwy gmin zdaje się nie domyślać nawet, że żyli na świecie, ci nieśmiertelni, natchnieni, których pieśni powtarza, albo czyta utwory.

Pan * *autor i tłómacz dzieł wielu* (jak niekiedy ze ścisłością dyplomatyczną lubią podpisywać się autorowie) zszedł raz swojego służącego czytającego pilnie jakąś książkę, i nie bez miłego wrażenia, poznał własne dzieło.

— Wieszże przynajmniéj, mój Jakóbie — zapytał — kto napisał tę książkę?

— Wielmożny Pan żartuje sobie ze mnie — odpowiedział czytelnik. — Wszakże to książka drukowana!

22.

Co dzień błękitnawszą mgłą zachodzi w Wilnie słynne niegdyś imie poety-witajnika *Szukłowskiego.* Należał on do tegoż samego zgromadzenia co i genijalniéjszy od niego Baka, ale nie będąc związanym żadnemi ślubami, nie podzielił losów oddalającego się zgromadzenia, i zachował tylko sobie na pamiątkę jednę opończę, w któréj

zwykle improwizował. Z postępem wszakże czasu stara opończa widocznie zaczęła nieodpowiadać niestarzejącej się wenie poety: wielbiciele zatém i wielbicielki talentu, pośpieszyli z ofiarowaniem Szurłowskiemu nowéj opończy, na któréj wyszyty był złotem pegaz, w całym biegu. Wdzięczny wieszcz nie składał już odtąd nigdy téj oznaki okazanego mu hołdu.

Znakomity professor B. położył Szurłowskiemu następujący nagrobek:

Najmocniéjszy z poetów spoczywa w tym grobie:
Kogo Pegaz, on nosił Pegaza na sobie.

23.

Poecie Wessel nastąpił w teatrze jakiś młody człowiek dość mocno na nogę, i zawoławszy tylko: *oj!* poszedł dalej — posłuchaj Pan — rzekł głośno za odchodzącym Wessel — jeśli mi drugi raz nastąpisz tak na nogę...

— Tom powinien przeprosić — przerwał obracając się młodzieniec — a więc bardzo przepraszam!

— Nie, nie to jest — odpowiedział z u-

śmiechem p[illegible]a — ale pamiętaj Pan, że w takim razie do mnie należy, a nie do niego zawołać: *oj!*

24.

Młody, wesoły czeladniczek idąc wieczorem po ulicy nucił sobie spółczesną ulubioną piosenkę; ale w połowie jednéj zwrótki, zdradzony widać od pamięci, lub może porwany w stronę jakąś nagłą myślą, zatrzymał się i uciekł.

W téj chwili głos jakiś tuż za nim dokończył niedośpiewanéj zwrótki.

— Mój Panie! — zawołał chłopak, obracając się z żywością — jeżeli drugi raz spodoba się mu jaka moja piosenka, to proszę ją sobie i zaczynać.

25.

Sławny jeden dramaturg francuzki siedział raz w teatrze obok jakiegoś wytwornie ubranego młodzieńca. Między pierwszym a drugim aktem, sąsiad, w wyrazach pełnych uszanowania przeprosił go że śmie przerwać myśli tak znakomitego męża i zaczął się unosić nad pięknościami różnych dzieł jego, które zdawał się znać doskonale. Hołd z ta-

ką znajomością rzeczy oddawany, nie mógł być nie miłym: wkrótce jednak zachmurzyło się nieco czoło dramaturga, gdy młodzieniec ciągle nazywając go jedynym wzorem i wyrocznią, zakończył prośbą o pozwolenie przeczytania mu swojego wodewilu. Odmówić jednak po wysłuchaniu tylu grzeczności było niepodobna.

W oznaczonym czasie, młody autor nie omieszkał się stawić ze sporym zwojem papieru. Ale gospodarz ufał bespiecznie w swoje sposoby strategiczne, nieraz już z najlepszém powodzeniem używane. Przygotował szklankę wody z cukrem, umieścił się wygodnie w swojém krześle, położył obok siebie zegarek, dał znak że jest gotów, i dla skupienia niby całej uwagi, przymrużył oczy. Strategija w rzeczy saméj nie zawiodła go i tą razą. Po pierwszych scenach zasnął snem sprawiedliwego sędziego. Jak długo spał? niewiadomo: bo gdy się nakoniec obudził śród głębokiéj ciszy, i chciał wiedzieć godzinę, nie znalazł ani zegarka, ani autora, ani kosztowniejszych cacek na stoliku, ani nawet srebrnej łyżeczki w szklance.

Natomiast, na pulpicie, w tém miejscu

gdzie leżał zegarek, była karteczka zapisana ładném angielskiém pismem następnie:

— „Młode talenta należy zachęcać, kierować i wspierać, nie zaś obchodzić się z niémi, jakby z jakąś ingredijenciją usypiającą — jak to Pan oddawna już masz w nagannym zwyczaju.“

P. S. — Jeśli się Pan nie doliczysz niektórych dokoła drobnostek, za to zostawiam mu, w chwili jego przebudzenia się, gotową, prześliczną, i jak śmiem sobie pochlebiać, całe nawet nową sytuacíją do wodewilu.

26.

Młodziutki i najpotulniejszy w świecie oficer od Saperów, kwaterujący w domu żydowskim, rysował spokojnie w swoim pokoju. W tém otwierają się drzwi, i zadyszana gospodyni, najzamożniéjsza w tém mieście kupcowa, dźwigając jakąś sporą pakę, prosi go, jak o największą łaskę, o pozwolenie zostawienia na chwilę - chwilęczkę, w jego pokoju, przyniesionych rzeczy. Po czém nie czekając pytań, ani odmówienia, zostawia pakę i wychodzi.

Nie upływa dwuch minut, daje się słyszeć ruch i zgiełknie zwykły w całym do-

mu. Wrzawa zbliża się stopniami ku drzwióm Sapera, i jakiś głos groźno - inkwizycijny zapytuje: — A tu co macie?

— Och! ciszéj Pan! zmiłuj się! — odpowiada przerażona niby, gospodyni. Tu mieszka porucznik od Saperów: ale taki *straszenny* gbur i grubijanin, że niech Bóg broni! Przechodząc mimo drzwi, my wszyscy musimy zdejmować obuwie: zaraz gotów z pistoletem rzucić się na człowieka, nie uważając kto on będzie taki? Powiadają, że on już wyprawił na tamten świat siedmiu kwartalnych, a raz wystrzelił nawet do samego Horodniczego. Jak napije się herbaty, to nie zna wtedy nikogo przed sobą. A i teraz, ot tylko co, niedawno, człowiek wyniosł od niego samowar. Zobaczcie panowie, że jeszcze musi być gorący!

Słuchając téj cudownéj relacji, o swoich siedmiu mężobójstwach, porucznik polegał od śmiechu.

— Spróbowałby on do mnie wystrzelić! — odezwał się głos jeden, w pewném już oddaleniu.

Z tém wszystkim orszak rewizorski przeniosł się szczęśliwie na drugą stronę domu.

27.

Mówiono raz o względnie—małéj nader ludności Litwy. — Och! cóż w tém dziwnego! — odezwał się Pan S. — proszę tylko policzyć, co to ludu, co najdoborniéjszegó ludu, zginęło marnie w jednych Witoldowych bojach!

28.

Dozorca jednego muzeum, pokazywał między innémi osobliwościami miecz, którym Balaam chciał zabić swoję oślicę.

— Ależ Balaam nie miał przy sobie miecza — zarzucił któś z odwiedzających — mówi się tylko: że on chciał mieć miecz na poderędziu.

— To też ja Panu i pokazuję ten sam miecz właśnie, którego Balaam chciał wtedy — odpowiedział niezmięszany dozorca.

29.

Wolno praktykujący lekarz, człowiek już niemłody, zdawał ekzamen na stopień Doktora. Po wielu innych pytaniach, kazano mu wyliczać lekarstwa obudzające poty. Kandydat wyliczył ich niemało: z tém wszy-

stkiém professorowie nie uznali jeszcze pytania dostatecznie wyczerpaném. Wreście Dziekan chcąc naprowadzić ekzaminowego na stanowczą odpowiedź, zapytał:

— A jeśliby wszystkie wymienione przez pana sposoby nie skutkowały, jakżebyś postąpił z chorym?

— A cóż? — odpowiedział biedny człowiek z widoczną rozpaczą — chybabym go wziął pod ekzamen!

30.

Samuel Johnson bez wątpienia jedno z najpiękniéjszych imion, których ma tyle szczęśliwa Anglija. W każdej jego myśli, w sposobie jéj wydania, w każdém prawie słowie, jakaś patrijarchalna godność, prostota, pogląd szlachetny i głęboki. W saméj postawie i zwyczajach życia tego znakomitego człowieka, było też wiele patrijarchalnego. Raz w Lichtfield, miejscu rodzinném Johnsona, właścicielka tego miejsca, Hrabina L. oczekiwała go z obiadem. Było to w Listopadzie, w najprzeraźliwszą angielską słotę. Pora obiadowa dawno już przeszła: oczekiwać dłużéj z powodu licznych gości było

niepodobna: podano więc obiad — wniesiono potém i herbatę — a Johnsona nie było. Nakoniec, gdy już goście rozchodzić się mieli, służący oznajmił Johnsona. Widok jego wprawił wszystkich w podziwienie. Nadzwyczaj blady, znużony, był cały przemokły i miał jeszcze szmaty śniegu na włosach. Przytomni poglądali nań w milczeniu. — „Proszę mi przebaczyć! — rzekł obracając się do gospodyni — dając pani słowo, zapomniałem zupełnie, że dziś 21 Listopada. Pani mię nie pojmujesz? opowiem więc wszystko. Niech mi to posłuży za karę. Dziś cztérdzieści lat temu, stary, chory mój ojciec rzekł do mnie: „Samuelu! ja niedomagam, weź mój wózek, jedź do Walstal i wyręcz mię w przedaży książek.“ Ja, miledy, nadęty mą uczonością, którą byłem winien jemu jednemu, nieusłuchałem. Wtedy mój ojciec z dobrocią, o której nie mogę nigdy wspomnieć bez gorzkiego żalu, rzekł, jeszcze: „Samuelu! bądź dobrym synem, pojedź: dziś dzień targowy, szkoda go utracić.“ Ale i te słowa rozbiły się o głupią mą dumę. Nakoniec chory starzec sam pojechał. Dzień był tak słotny jak dzisiaj. W tydzień potém — on umarł.

Po tych słowach, Johnson zakrył twarz rękoma i głośno zapłakał: wkrótce jednak przezwyciężył się i mówił dalej:

— Od tego czasu dziś jest lat cztédzieści. W ciągu tych lat przyjeżdzam zawsze na 21 Listopada do Lichtfield. Drogę, któréj nie chciałem wtedy przejechać, odbywam teraz piechotą i na czczo: a w Walstal stoję przez cztéry godziny na tém miejscu, gdzie mój ojciec przez lat trzydzieści zajmował się przedażą książek, z któréj utrzymywał nas wszystkich. Mój Boże! Już temu lat cztérdzieści. Starszy jestem od ojca — i nie mogę umrzeć!

31.

26 Października 1806 roku, na posiedzeniu Paryskiej akademii nauk, sławny Ampère czytał z katedry jednę ze swych rozpraw, odznaczającą się, jak zwykle, nowością rzeczy, ważnością zastosowań, i kwiecistém, pociągającém wysłowieniem. Głębokie milczenie panowało w sali. W tém wszedł jakiś jegomość w czarnym fraku, z orderem legii, oddał zgromadzeniu zwyczajny ukłoń, i chociaż pośpieszył zająć natychmiast miej-

sce, nie obeszło się jednak bez szmeru i przesuwania krzeseł, tak że czytający musiał na chwilę przestać, i zachmurzoném czołem powtórzył przerwany okres. Wkrótce jednak, śród głębokiéj ciszy, rozjaśniła się znowu twarz Ampera. Gdy skończył i podług zwyczaju, podszedł do stolika, prezes i bliżéj siedzący wynurzali mu swą radość i wdzięczność, za poczynione dla nauk odkrycia, i za chwałę jaką nie przestaje okrywać akademii. Amper dziękował, kłaniał się, nakoniec chciał usiąść na swojém miejscu. Ale właśnie zajął je nieznajomy jegomość w czarnym fraku. Dobry Amper obszedł go do koła, zakaszlał kilka razy nad swém krzesłem, jak bocian klekoce, gdy zastanie zajętém swe gwiazdo, w końcu widząc że go nieznajomy nie pojmuje, odezwał się w głos do Pana Geoffroi de Saint-Hilaire: panie Prezesie! jedno z naszych krzeseł, wbrew ustawóm, zajętém jest dowolnie przez osobę obcą akademii! — Mylisz się Pan — odpowiedział z pośpiechem prezes — osoba o któréj Pan mówisz, należy do liczby członków naszéj akademii. — Od kiedyż to? — zapytał zadziwiony Amper. — Od dnia 5 miesiąca

nivose (*) roku 6. — odpowiedział sam nieznajomy.— „W jakim przecię oddziale? niech mi będzie wolno zapytać? — natarł znowu Amper z przekąsem. — W oddziale mechaniki, mój uczony kolego! — odrzekł nieznajomy z uśmiechem.

— Już też to nadto! — zawołał zaperzony Amper, podbiegł prawie do stolika, rzucił się do księgi Roczników Akademii, i wyszukawszy pręciutko dzień wskazany, zastygł niemal w nachylonéj postawie. Kiedy niekiedy tylko zlekka drgały mu usta, jak gdyby powtarzał i powtarzał przeczytane wyrazy.

— Widzisz Pan — rzekł Cesarz z ciągłym już uśmiechem — że należy się zaznajamiać ze swymi kolegami! przychodź bo do mnie do Tuilleries: a to ja go nigdy u siebie nie widzę!“

32.

Nie wszystkim może noszącym tak nazwane hiszpańskie bródki, wiadomém jest ich pierwiastkowe znaczenie. Za panowania

---

(*) *Nivose* czwarty miesiąc podług kalendarza byłéj Rzeczy-pospolitej Francuzkiéj.

Maurów w Hiszpanii, gdy z czasem zaczęła się zacierać różnica ubiorów, Hiszpanie przyjęli te prostopadłe bródki w tym celu, aby wraz z wąsami składały one formę krzyża i stanowiły charakterystyczną oznakę Chrześcijan.

Smutna myśl, że w zwyczajach i ubiorach nie tylko starożytnych, ale nawet tak nazwanych barbarzyńskich czasów, zawsze można dopatrzéć przyczyny pięknej i ważnéj, a zawsze i wszędzie miejscowej i rozsądnéj: kiedy przeciwnie w naszym postępowym wieku wszystkiém témi rządzi moda, istne *fatum* bez celu, przyczyny i rozumu.

33.

W czasie pobytu Piotra W. w Paryżu, jeden z Panów dworu występował codzień w nowym i odmiennym stroju.

— O ile uważam — rzekł Cesarz — to temu panu w żaden sposob krawiec dogodzić nie może.

34.

Starożytni zawsze prawie byli niesprawiedliwymi i nieszlachetnymi względem kobiét.

W wiadomym związku Ateńczyków na wypędzenie tyrannów, gdy jeden z nich wpadł na poszlak o grożącym zamachu i skazał na męki należącą do związku kobiétę, bohaterska ta niewiasta, imieniem *Leona*, przeniosłszy niejednokrotnie powtarzane katusze, na których ciągle badaną była o nazwiska sprzysiężonych, nakoniec odkąsiła sobie język.

Po wypędzeniu tyrannów, Ateńczycy wystawili swojéj wybawicielce posąg z podpisem: — „Cnota odniosła zwycięztwo nad przyrodzeniem!“

Nie jest-że to uwieczniona obelga, skamieniały żart niewczesny?

Nie smutny-ż to stan towarzystwa, które matkóm, żonóm, siostróm, najczulszym i zdolnym do najwyższego poświęcenia się przyjaciołkóm, odmawia najstotniéjszego warunku przyjaźni — i publicznie nie uznaje *w ich przyrodzeniu* możności dochowania tajemnicy?

33.

Nigdy jeszcze zapewne, odkąd przeświadczyli się ludzie: że najprędzéj płuży u dworu, nie znajdowali się w większym kłopo-

cie dworacy, jak za czasów Kaliguli, po śmierci jego siostry Druzylli.

Imperator roskazał wnieść ją w poczet bogiń, i wydał spółcześnie dwa następujące *edykta:*

1-szy, że będzie karanym śmiercią każdy, kto nie będzie opłakiwał cesarskiej siostry.

2-gi, że karze śmierci ulegnie każdy, kto ośmieli się opłakiwać cesarską siostrę, nieśmiertelną i boską.

Jeden z Senatorów, którego niedawno Kaligula przez szczególną łaskę kazał oślepić na jedno tylko oko, po przeczytaniu tych dwóch edyktów w Senacie, zawołał wznosząc ręce do góry:

— Niech będą dzięki Bogóm i naszem najszczęśliwszemu Imperatorowi! oba jego wyroki, pełne najgłębszej mądrości, śpieszę spełnić od saméj chwili wysłuchania. Tém zamkniętém okiem opłakuję i będę opłakiwał zawsze cesarską siostrę: drugiego zaś nie przestaną wznosić ku niebu, błagając nad Rzymem opieki bogini!

— A wy ojcowie! — rzekł obracając się do Senatorów — Ale zatrzymał się chwilę, i skinąwszy białą brodą, przydał: — I wy potraficie!

36.

Mówiono raz przed Lutrem o *chiromancii* to jest: o wróżeniu z dłoni o różnych skłonnościach i przymiotach człowieka.

— Już to i ja — rzekł Luter — podług tego sposobu możebym się poznał na hojności! Musi to być wszakże bardzo biedna nauka, kiedy przedewszystkiém patrzy ci na ręce!

37.

Cztéréj cudzoziemcy z różnych stron Europy, płynąc na jednym parostatku wysiedli raz na brzeg za zgodą Kapitana, dla obejrzenia blizkiego wodopadu.

Gdy już wracali, lunął deszcz obfity i zmoczył ich do nitki.

Ach! Panie Kapitanie!—rzekł pierwszy—*przemokłem do rąbka.*

— A ja — zawołał drugi — *przemokłem do skóry* (biss an die haut nass.)

Trzeci świadczył się: że *przemokł aż do kości* (mouillé jusq'aux os.)

Nakoniec czwarty ręczał: że *przemokł do samego szpiku* (majado nacta los tuctanos.)

— Dwuch panów piérwszych, możnaby jeszcze jako tako osuszyć — rzekł Kapitan — ale co do panów — przydał obracając się do trzeciego i czwartego — to muszę natychmiast, ich imieniem, rozkazać podać wazę pończu, do któréj i my też się przysiądziemy.

38.

Młody jeden duchowny, zaproszony z kazaniem do sąsiedniego kościoła, zaczął od słów:

— „O czém-że mam dziś mówić do was, najmilsi słuchacze?“

I pamiętny niedawno słuchanych przepisów homiletyki, długo w sposob znaczący poglądał po zgromadzeniu.

— Nie teraz, nie teraz czas o tém myślić, mój Dobrodzieju! — odezwał się stary ●kiś Sodalis, i zaintonował: Zdrowaś Marija!

39.

Deputowani od jednego z miast Szkockich, winszując Jakóbowi I. wstąpienia na tron, życzyli: aby panował szczęśliwie, dopóki nie przestaną świecić: słońce, księżyc gwiazdy.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział król

z uśmiechem — ale chciejcie zważyć panowie, że w takim razie mojemu synowi przyszłoby już panować przy świécach.

40.

Newton miewał długie chwile najpocieszniejszego roztargnienia. Raz, rozmyślając może o *binomach*, wyrzynał najcierpliwiéj we drzwiach swojéj pracowni, dwa różnéj wielkości otwory.

— A toż na co? — spytał go ktoś, gdy robota prawie już była skończona.

— A to musiałem zrobić dla mojéj kotki i dla jéj nieodstępnego kociątka: tak mi już dokuczyło ustawicznie to odmykać, to zamykać!

— Więc dla czegoż aż dwa otwory?

— Prawda — zawołał wielki człowiek, polegając od śmiechu.

41.

Młody malarz kochał się w córce Rubensa, i pewny wzajemności, prosił o jéj rękę. Ale Rubens wręcz dał się słyszeć: że nie odda swojego dziecięcia za człowieka, którego całym losem talent, mniej jeszcze niż wątpliwy. To odmówienie nie zraziło

młodzieńca. Znika na lat parę, przepędza ten czas u najpierwszych spółczesnych malarzy, pracuje pod ich okiem i powraca znakomitym artystą. Bieży do domu Rubensa, utęsknione oczy i wierne serce spotkały go u progu. Rubens wyszedł niedawno: ale na ramach stał obraz świéżo rospoczęty. Młody malarz chwyta pędzel, narysowuje z bijącém sercem i śród modłów kochanki, letnią złoto-zielonawą muchę — i oddala się z pośpiechem.

Wkrótce powraca Rubens i zabiera się do przerwanéj pracy. Widzi muchę w tém właśnie miejscu, gdzie farby najmniej jeszcze zaschły, spędza ją raz i drugi, niecierpliwi się, wpatruje, i poznaje swoję omyłkę.

— Kto tu był bezemnie? — woła biegając po całym domu.

Córka wymienia z bojaźnią nazwisko gościa — i w tejże chwili otrzymuje błogosławieństwo.

42.

Dramatyczny pisarz i aktor Futh, upatrując w jednym z młodych swych towarzyszów prawdziwy talent, lubił go bardzo, pamiętał o jego potrzebach i wspierał rada-

mi. Młodzieniec nawzajem oddałby życie za Futha: mimo wszakże powtarzanych mu codzień prawie zaręczeń, nie mógł się oderwać od gry kartowéj.

Raz, w noc zimową, Futh powracał do domu przez jednę z ustronniejszych ulic. Nagle otwiera się okno na piętrze, w jednym rzęsiście oświeconym domu, wybucha na ulicę kłąb pary i fajczanego dymu, w tym kłębie ukazuje się jakaś rozczochana figura, szamoce się małą chwilę jakby dla równowagi, i w okamgnieniu, w szczęśliwém *salto* staje równémi nogami na śniegu.

— Któż to znów? — woła Futh przerażony i osypany śniegiem.

— Ja to jestem, kochany Panie Fucie! Dobry wieczor Panu!

— Dziękuję za grzeczność. Ale czyś cały?

— I nic mi, kochany Panie Fucie! Ale łotry zagrabili mi zegarek, nie chcieli grać dalej na honorowe — masz, i jakby równego sobie, strącili mię z okna — nawet bez czapki.

— A widzisz — rzekł Futh z mimowolnym śmiechem—mówiłem ci tyle razy: nie graj *wysoko!*

43.

Żyje może jeszcze autor karykatury wyo-

brażającéj króla Rzymskiego, na ręku piastunki, ssącego ogromną ćwikłę z podpisem: „Mangez, mangez toujours, mon petit roi; votre papa dit que c'ect du sucre!“ (Jedz, jedz, mój malutki królu; papa twój mówi: że to cukier!)

Wielki papa mówił prawdę — jednę z najdobroczynniéjszych dziś dla Francji — a Francija się śmiała!

44.

Konstantynopolscy żydzi, zapędziwszy się raz w sporze z muzułmanami, dali się słyszeć: że ze wszystkich ludów jedni tylko żydzi mogą być i będą w raju.

— A prawowierni? — zawołali potężnym głosem Turcy.

— Prawowierni — odpowiedzieli żydzi, postrzegając się po czasie — już ci też powinni być i będą zapewne najbliżéj raju.

— W jakiéj, naprzykład, odległości?

— Będą oni tuż, pod samym złotym parkanem, który raj opasuje: zdaje się nawet, że będą mogli w szczeliny poglądać na żydów — czego nie dostąpi żaden inny naród na świecie.

O treści tego sporu dowiedział się wkrótce wielki Wezyr — i sam pady-szach.

W kilka dni wyszedł firman następujący:

— „Ponieważ niegodziwi Abrahamici naznaczają prawowiernym jakieś miejsce za okrębem raju i pod odkrytém niebem, słuszna zatém, aby dla zasłonienia nas od słot i słonecznéj śpieki, wnosili corocznie pewny podatek, który i ma być pobieranym w taki sposob:“ i t. d.

Podatek ten trwa dotąd, pod nazwiskiem: *na Sułtańskie namioty.*

45.

Odwieczny przesąd względem sztuki lekarskiej, a nadewszystko przeciw jéj godziwości w Szabat (*) i inne dni świąteczne,

---

(*) W jednym z poematów, natchnionych, jak opiewa okładka, w roku łaski 1846. Czytaliśmy następujący przypisek:

„Schabbat po hebrajsku odpoczynek, sobota, siódmy dzień każdego tygodnia.“

Moglibyśmy zapewne, dobrém sumieniem, podać to uczone objaśnienie w samym tekście, jako *anegdotę arcy-ciekawą i ucieszną:* ale że mowa o przypisku, zatém i podajemy ją w przypisku.

dotąd jeszcze trzyma się biednych żydów — niedawno jeden z nader wziętych berlińskich lekarzy wyznania Mojżeszowego, starał się o córkę swojego spół-wyznawcy, bogatego bankiera. Stary bankier, przesiąkły cudactwami talmudu, długo ani słyszeć nie chciał o tym zamiarze, wciąż powtarzając: że każdy żyd lekarz jest bardzo podejrzanéj prawowierności, że nawet nie sposób aby mógł być dobrym Izraelitą, bo obowiązanym jest przysięgą swojego powołania śpieszyć z pomocą chorym o każdéj porze: nadewszystko zaś, że łamie świętość szabatu, przepisując w tym dniu recepty.

Szczęściem bankierowa, która życzyła sobie bardzo tego związku, znalazła sposob do uspokojenia tych wątpliwości.

— Jaki żeś ty dziwny, mój mężu! a zdaje się taki uczony! — rzekła z przymileniem — alboż nie można zobowiązać naszego zięcia w ślubnym kontrakcie: że wszystkie recepty na sobotę, będzie zapisywał w piątek, do ukazania się pierwszéj gwiazdy?

46.

Ludwik XIV, grassował często ze swą gwardiją szwajcarską w okolicach Paryża.

Liczne były z tego powodu narzekania, ale nie dochodziły króla, który ani się domyślał szkod wyrządzanych.

Nakoniec jeden z dowcipnych podstołecznych wieśniaków, wpadł na dobry sposób. Podczas przeglądu, zaczął obiegać swe pole i wołać tak, że król nie mógł go niedosłyszeć:

— „O cudo! zasiałem groch, a wyrośli Szwajcarowie!“

47.

Za Jerzego III, były zaprowadzone w Windsorze tak nazwane godziny bezetykietalne, w których bawiono się podług pierwszéj lepszéj myśli. Raz król przystąpił do jednego z Lordów szkockich i chciał z nim zmierzyć się co do wzrostu. Szkot stanął do miary, ale przechylał ciągle głowę to w jednę to w drugą stronę, tak że raz zdawał się wyższym to znowu niższym, i niepodobna było rozstrzygnąć pytania. Zniecierpliwiony król wpadł tymczasem na jakiś nowy pomysł i wyszedł do drugiego pokoju.

— Dla czego, Lordzie, nie dałeś się zmierzyć? — zapytano go zewsząd.

— Nauczcież mnie, proszę czego mu się chciało: czy być wyższym czy niższym odemnie? — odpowiedział Szkot, ściskając ramionami.

48.

Szwajcarowie utrzymywani na żołdzie królów francuzkich, mieli w każdym pułku tak nazwanego *Lustig'a*, (trefnisia) który z obowiązku musiał być za cały pułk dowcipnym. Był to wszakże nie nader trudny obowiązek.

Raz pułk szwajcarski wychodząc na zmianę straży do Wersalu, grzmiał takim potężnym śmiechem, że aż się trzęsły wszystkie okna na ulicach dobrego miasta Paryża. Mieszkańcy nie posiadali się z zazdrości i ciekawości, ale zaczepiać i rozpytywać tych wąsatych pretorijanów nie było bezpieczna, a wyczytać im z oczu tajemnicy niepodobna.

Na szczęście, po przeciągnieniu już pułku, dał się widzieć jeszcze jeden żołnierz, który też śmiał się jak utrapiony. Natychmiast Paryżanie wzięli go w kółko, i uchylając czapek i kapeluszów, dopraszali się przyczyny śmiechu.

— A to już musi być nieinaczéj — odpowiedział Szwajcar, jakże nasz Lustig, tam w pierwszym szeregu, powiedział cóś djabelnie śmiesznego!

49.

Klemensowi VII. pokorniuchny jakiś poeta ofiarował sonnet. Papież przyjął z dobrocią, ale rzuciwszy okiem, dostrzegł że w trzecim zaraz wierszu nie dostawało jednéj syllaby: i wskazał to autorowi.

— Jeżeli wasza świątobliwość raczy przeczytać do końca — odpowiedział wierszopis — to w wierszach następujących nie jedną zapewne syllabą znajdzie się nadto!

50.

Klaus von Ranstädt, trefniś kurfürsta saskiego Ernesta, dostawszy w twarz od jednego z książęcych paziów, wpadł ze skargą do kurfürska.

— Dla czegożeś mu nie oddał?

— Dlatego, mości Książe, jeśli mam jeszcze wymieniać i przyczynę — odpowiedział Klaus zaperzony — dlatego, że nas dwuch tylko było: a więc kolej w oka mgnieniu znowuby doszła do mnie.

51.

Po tym niemiłym wypadku, Klaus wystrzegał się niebezpiecznego sam na sam, i polował na swych przeciwników wtedy tylko, gdy był pewnym odwodu.

Raz w liczném towarzystwie, jeden z młodych wojskowych przezeń obrażony, zbliża się ku niemu i mówi z cicha:

— Licz śmiało, że jak tylko ztąd wyjdziesz, dam ci w policzek!

— Ja miałbym stąd wyjść! — zawołał Klaus, śmiały obronnością swojego położenia — o nie! mój Panie! Bądź pewnym, że ja ci tego nie zrobię i za dwadzieścia policzków!

52.

Sławny Doktor Falconet wezwanym był raz do znanej z przywidzeń, i ciągle odmieniającej lekarzy, chorej.

Oświadczyła ona naprzód, w nader pochlebny sposób, (z widoczną wszakże wprawą w tego rodzaju wstępach) że nakoniec spotyka człowieka, któremu może zaufać i t. d. przebiegła potem listę lekarzy, którzy nie chcieli czy nie mogli pojąć jej cierpień i le-

czyli ją dotąd najnietrafniej: nakoniec zaczęła opowiadać o sobie: że wprawdzie je, pije, sypia, zdaje się mieć wszystkie pozory dobrego zdrowia....

— Bardzo dobrze! bardzo dobrze! — przerwał Falconet — pozwól mi tylko Pani dni parę, a zaręczam, że pozbawię Ją tego wszystkiego.

53.

Towarzystwo oswobodzonych Negrów, dawało w New-Yorku obiad na cześć Amerykańskiego Jenerała Foksa, swojego szlachetnego obrońcy. Wnosząc toast za zdrowie Foksa, jeden z Negrów rzekł do niego te słowa: „Jenerale! choć jesteś białym, ale masz najczarniejsze serce!“

54.

Podczas przeglądu wojsk francuzkich, przysłanych w roku 1827 do Grecji, Ibrahim-pasza ukazując na kilka źle odzianych pułków, spytał Marszałka Maison: jakie to są wojska?

— Pułki te — odpowiedział Marszałek — tylko co powróciły z Hiszpanii, (z wyprawy pod dowództwem księcia d'Angouleme) i nie

mogły być jeszcze na nowo umundurowane:

— Jak to! — zawołał Ibrahim z dobrze udaném zadziwieniem — i te same wojska, co ujarzmiły Hiszpanów, będą użyte na oswobodzenie Greków?

55.

— Jeśli to prawda że królowie noszą na czole jakiś wyraz wielkości — rzekł raz Napoleon do króla westfalskiego — to ty, mój bracie, możesz najspokojniej jeździć *incognito*.

56.

Po ogłoszeniu roskazu, aby w portach i przystaniach palono wszystkie angielskie i kolonijalne towary, Napoleon przejeżdzając się konno po okolicach Fontainebleau i pomijając dom wiejskiego plebana, poczuł mocny zapach palonej kawy.

— Ha! ha! — rzekł Cesarz śmiejąc się do swojego adjutanta — otoż i kontrabanda! I założę się że winowajca sam Dobrodziej! musimy go odwiedzić!

W rzeczy samej, schodzą biednego plebana z piecykiem w ręku, co się nazywa na gorącym uczynku;

— Przykładnie! niė ma co! — woła uradowany Cesarz, bijąc w ręce — cóż to Jegomość robisz?

— A cóż, Najjaśniejszy Panie! Podług rozkazu waszej Cesarskiej Mości, palę kolonijalne towary.

57.

Wyliczano raz imiona i zasługi różnych Jenerałów. Pełen talentu Pan M. przegrywając cóś sobie jedną ręką na fortepijanie, miał udział i w rozmowie.

— O i ja znam — rzekł — bardzo zasłużonego Jenerała, który już dawno powinienby być Feldmarszałkiem.

— Któż znów?

— A nasz Jenerał - bas!

58.

Sławny frańçuzki tragik Dufręsne mówił jednego wieczora zbyt cicho.

— Głośniej! — zawołał głos jeden z parteru.

— A Pan ciszéj! — odparł ostro artysta.

59.

Najznakomitsza spółczesna aktorka Panna Mars, posiadająca, jak wiadomo, *wodę*

młodości, musiała raz stawać u Sądu, z powodu poniesionej znacznej szkody i odpowiadać na nieuchronne pierwsze pytanie o latach?

— Mam lat cztérdzieści — odpowiedziała pręciutko.

— Ale to cudo! — rzekł jeden ze świadków — pamiętam pierwsze jej wystąpienie: właśnie temu lat cztérdzieści.

— Nic dziwnego! — odpowiedział drugi — wszak-że jej cała Europa przyznaje: że się urodziła aktorką. . (elle est née comédienne !)

60.

Odbywając przegląd kilku pułków starej gwardji, Napoleon roskazał szkole wojskowej Saint-Cyr'skiej, która też była zebraną, podstąpić i należeć do ewolucji. Pomiędzy młodzieżą zwrócił na siebie uwagę Cesarza jeden sierżant, którego postawa zdała się szczególniej obiecującą. Napoleon wywołał go z szeregu i kazał mu komenderować jednym z pułków gwardji. Młodzieniec wystąpił śmiało, stanął przed pułkiem, i zakomenderował głosem donośnym: „Baczność! „prezentuj broń!“ Komenda została wy-

konaną, ale bronie wydały przeciągły szelest, a bagnety chwiały się długo, jak liście w dzień cichy trącone przelotnym powiewem. Widocznie było, że starzy podbijacze świata nie wiele się troszczyli o te ceregiele-musztrowe. — „Zle! powtórzyć! baczność! Broń „do nogi!“ — zawołał marszcząc brew komenderujący. Cesarz śmiał się: grenadijerowie zaczynali się gorszyć.

— Baczność! prezentuj broń! — Zle! niegodnie! najniegodziwiej! Tak się robi: raz! dwa! powtórzyć!

Napoleon polegał od śmiechu: starzy patrzyli nań z podełba i niechętnie powtórzyli komendę.

— Fe! do millijonset! śmiech babom! — zawołał sierżant.

Na te słowa cały pułk zawrzał głuchym szmerem.

Napoleon podchodzi do sierżanta, bierze od niego broń, obraca się do Saint-Cyr'skiej szkoły, i zaczyna komenderować.

Młodzieńcy uszczęśliwieni okazanym im przez Cesarza zaszczytem, robią bronią, każdy raz jakby stłukł orzech.

Gdy Napoleon mógł zmiarkować, że starzy już się uspokoili, obrócił się ku nim i

rzekł z uśmiechem, ukazując na szkołę: — Wszak nie źle, mój przyjaciele?

Potém podszedł do sierżanta, i oddając mu broń odezwał się surowo i tak, że go wszyscy dosłyszeć mogli:

— Z tém wszystkiém, mój Panie, myśmy za młodu znali musztrę lepiéj od was!

Słowa te zagładziły wszystko, i zlały się z okrzykiem: niech żyje Cesarz!

61.

Jedén z najznakomitszych naszego wieku chemików, Davy, straciwszy najczulej kochaną żonę, nie oddał jej zwłok ziemi, ale spalił na stosie sposobem indijskim, zebrał drogie popioły do urny, obrócił przez proces chemiczny w bryłkę najczystszego kryształu, i nosił w pierścieniu do samej swej śmierci.

62.

Poeta Lamotte spotknąwszy się zawadził o jakiegoś wykwintnie ubranego młodzika, który zamiast podania mu pomocy, uderzył go w twarz.

— Jakże Pan będziesz żałował swojego postępku — rzekł poeta łagodnie — gdy się przypatrzysz żem ślepy.

63.

Jeszcze tak niedawno, znakomitsi mistrze taili się starannie ze swoją metodą i teorijami. I cóż dziwnego, gdy nawet dotąd, w niektórych uniwersytetach niemieckich, dochowuje się sławny podział lekcii na *publiczne*, *domowe* i *najtajniéjsze*: (lectiones publicae, privatae, secretissimae) znikły tylko dawne tabliczki z napisami o tém: różnica jednak w nauczaniu i opłacie nie ustała. Ale mówimy tu głównie o muzyce i malarstwie.

Do najzazdrośniéjszych swéj metody, należał bez wątpienia kompozytor *Porpora*, sławny ze swoich kantat i sporów z *Hendelem*. Ukrywał się on z nią tak podejrzliwie, że nawet jedyny służący, bez którego obéjść się nie mógł tracił natychmiast miejsce, jeśli w nieszczęśliwém roztargnieniu cóś sobie zanucił i okazał przez to choć jakiekolwiek *eufoniczne* usposobienie.

Raz, właśnie po takim wypadku, gdy Porpora już od dni kilku był bez wszelkiéj posługi, stawił się przed nim kandydat, z taką niepoczesną twarzą, i niemuzykalnémi uszami, że Porpora przyjął go na pierwsze

wejrzenie, nie zadając mu nawet swoich zwykłych postępnych pytań, i nie biorąc na żadne próby. Józef od pierwszych dni usprawiedliwił najzupełniéj powzięte o sobie mniemanie. Zaraz nazajutrz wywrócił cudowną wiolonczelę *Stradivariusza* i złamał w niéj rączkę: na trzeci dzień, ocierając z pyłu fortepjan, zerwał strun kilkanaście: nakoniec, na domiar zgrabności i domyślności, usmażył swojemu panu tak nazwane papilotowe kotlety, zawinąwszy je w tylko co napisaną i zostawioną na stoliku *partiturę*. Mistrz nie tylko że się nie gniewał na to wszystko, ale owszem rad był serdecznie ze swojego nieocenionego sługi. Bo nareście mógł też zaprzestać swych mordujących wybiegów i odetchnąć od wiecznych domowych podejrzeń. Życie mu się rozjaśniło: nie miał potrzeby zamykania się i zbierania, przed każdém wyjściem, wszystkich papierów: komponował w głos z całą swobodą, grał, przegrywał, powtarzał o ile mu się chciało — słowem był szczęśliwy, całe dwa lata. A więc nakoniec, oświadczył słudze otwarcie: że rad jest z niego, i że mu podwyższa *zasługi*. Józef pokłonił się i uśmiechnął z miną głupowatą, prosił swojego pana, jak o łaskę, o

zatrzymanie należnych mu pieniędzy, bo się lęka aby go nie okradziono albo i nie zabito: wziął wszakże kilka franków, z wyraźném zastrzeżeniem, że przez wdzięczność musi dnia tego solennie upić się w mieście, za zdrowie swojego dobrego Pana. Porpora zezwolił: lecz ileż razy żałował tego potém! Biedny Józef, jak zawsze niemocnéj był głowy, zadał się, widać, w towarzystwo werbujących austrjackich huzarów, którzy właśnie znajdowali się wtedy w mieście — i nie wrócił. Porpora był niepocieszony.

W kilka miesięcy potém, znajdował się on na wspaniałym koncertowym obiedzie u księcia Esterhazego. Zagrzmiała przecudowna muzyka: Porpora utkwił wzrok w kapelmejstra — i upuścił łyżkę. Ale po chwili, wstydząc się swojej myśli, uspokoił się znowu. Tymczasem muzyka zdała mu się coraz piękniéjszą. Chcąc zatém upewnić się o złudzeniu, zapytał księcia, który właśnie nań patrzył: jak też się nazywa Dyrektor Orkiestry?

— Józef Hajd'n — odpowiedział książe z mimowolnym uśmiechem.

Porpora osłupiał, wyszedł natychmiast

po skończoném stole — i jak chcą niektórzy, odtąd obywał się już bez służącego.

64.

Raz ktoś w traktijerze zażądał szklank. wody. Fagas nie dosłyszał i przyniosł szklankę wina.

— Co to, to szlachetnie! — rzekł gość — W wielu miejscach zdarzało się mi przeciwnie!

65.

Trzej jacyś zapaleni miłośnicy rybołówstwa, od samego świtu aż do południa, stali w jedném prawie miejscu nad Sekwaną, i w cichości zarzucali wędki. Właściciel nadbrzeżnego domu, długo patrzył na nich z okna, bawiąc się niepowodzeniem tych smutnych Anglików czy niezręcznych Paryżanów: nakoniec gdy wszystkie trzy wędki, w jednéj prawie chwili wyleciały do góry z niczém, nie mógł się odjąć pokusie powinszowania tym cierpliwym panóm jednostajnego szczęścia — i podszedł aż na miejsce.

— Dzień dobry! Jakże panom idzie?

— Nie źle! — odpowiedział jeden.

— Ale gdzież tam! patrzę już od dwóch

godzin i widzę, że najniewinniéj smagacie naszę dobrą Sekwanę.

— To Pan wątpisz, jak uważam, o naszej zgrabności. Zgadnij więc Pan, co mam teraz na wędce?

— Chyba jakiego nieszczęśliwego kiełbia albo okunia! Bo to stworzenia najdobrowolniejsze.

— Mylisz się Pan. Są jeszcze dobrowolniejsze. Naprzykład, mam teraz na wędce Pana samego. Imieniem króla aresztuję go za dług Pana S. Oto jest przedpisanie!

Biedny dłużnik, który od kilku tygodni nie wychodził już z domu, i nie wyszedłby zapewne na brzeg, bez największych ostróżności, choćby kto wołał o pomoc — dał się przecięż schwytać, tak łatwo, na narodową przyrzętę śmieszności.

66.

Kapitan austrijacki ekzaminował nowozaciężnego żołnierza.

— Co uczynisz, stojąc przy hauptwachcie, gdy mimo będzie przechodził oficer sztabu?

— Wywołam straż: do broni!

— Dobrze. A gdy się zdarzy, że w nocy przeciągać będzie mimo hauptwachtu, z hałasem szuja pijaków?

— Wywołam także straż: do broni!

— A dla czego?

— Bo nie zgadnąć! w gromadzie ludu może się zdarzyć i oficer sztabu.

67.

Feldmarszałek S. jechał raz z adjutantem malutkim parokonnym włościańskim wózkiem. W tém nalatuje kurier, woła na ustęp, i nie mogąc z powodu powolnéj jazdy podróżnych i wązkiej w tém miejscu drogi, wyminąć ich dość prędko, śród potoku słów uderza sławnego wojennika.

Adjutant porywa się, by zatrzymać i spiorunować zuchwalca samém imieniem naczelnego wodza: ale Feldmarszałek tego niedopuszcza, mówiąc spokojnie: — Daj pokój! zmiłuj się! widzisz że kurier! to nie żart!

Przybywszy na stacją pocztową, adjutant wnet się dopytał: że mniemany kurier był nie kto inny, jak kucharz jednego z Jenerałów, wracający z zasobami śpiżarni i piwnicy.

Oburzony podwójnie, mówi o tém Feldmarszałkowi.

— Taką rzeczą — odpowiedział uśmiechając się sławny Jenerał — oba straciliśmy prawo do *satysfakcii:* bośmy oba jechali *incognito.*

68.

Pytano raz sławnego numizmatyka: jaką monetę uważa za najdroższą?

— W tym względzie — odpowiedział z powagą — jednostajne prawidło przyjętém już jest w całym uczonym świecie. Najdroższy pieniądz, Panowie Dobrodzieje moi, to grosz *ostatni!*

69.

W ostatnich latach, Göthe wiele miał do zniesienia od ustawicznych odwiedzin, szczególniéj angielskich, zwykle ogłaszanych potém drukiem z różnémi dodatkami, których ani uznać, ani odwołać nie było sposobu. Postanowił więc ograniczać się w tych rozmowach, do ostatniego.

Raz wizyta odbyła się w następny sposob: Służący oznajmił Sir Roberta** Esquire'a. Göthe powstał — i ukłonił się w milczeniu.

Anglik zrobił toż samo.

Göthe wskazał krzesło.

Anglik usiadł.

Po tych przygotowawczych obrzędach, nastała głęboka cisza i trwała przez pięć minut.

Nakoniec gospodarz powstał: gość powstał także.

I znowu dwa ukłony w milczeniu.

Przeprowadzając wszakże gościa, Göthe, by się nie wydać zupełnie niemym wskazał na jeden z marmurowych biustów stojących w sali i rzekł: „Walter-Skott!“

— „Umarł“ odpowiedział Anglik.

Zatém, dwa ostatnie ukłony pożegnalne.

70.

Szał loterji owionął z kolei Włochy, szczególniéj królestwo neapolitańskie, i przybrał miejscową barwę. Kabały, wróżby, przeczucia, a nadewszystko każdy zbieg liczb niespodziany, przypadkowie w sposobie natchnienia otrzymany, poczytują się za potężne pomoce do zaklęcia losu.

Niedawno, na jednéj z ulic Neapolu, młodzieniec znakomitego rodu spadł z konia i

tak nieszczęśliwie, że nie okazywał znaków życia. Najpierwszy człowiek, który doń przypadł, ukląkł i w postawie modlącéj się błagał go w te słowa: „Panie! jeśli ci jeszcze choć troche pozostało życia, zrób łaskę nieszczęśliwemu, i powiedz mi tylko liczbę twych lat; abym mógł taki numer wziąć na loterji!“

71.

Malarz jeden, żądał dość wysokiéj ceny za pomalowanie pokojów, z powodu, jak powtarzał: że wprzódy będzie musiał wybielić je raz i drugi.

Pan S. który nadszedł właśnie na te ostatnie słowa, i znał dobrze talent artysty, rzekł z uśmiechem do gospodarza: — „Upewniam że ci wypadnie tak zrobić potém.“

72.

Raz pod czas kazania w Lipskim kościele S. Piotra, powstała gwałtowna burza: pioruny biły raz poraz, i błyskawice zalewały prawie świątynią. Miejscowy kaznodzieja, Doktor Barth, musiał przestać: ale uczynił to w sposob godny chrześciańskiego pasterza.

— Gdy Pan mówi, człowiek powinien umilknąć — rzekł upadając na kolana.

73.

Jednemu z Lordów skądinąd bardzo lubionemu, zarzucano raz w przyjacielskiém towarzystwie: że prowadzi grę nieumiarkowanie wielką i nazbyt się w niéj zapędza.

— Ale przecięż nie myślcie — odpowiedział — abym stawił na oślep i grał bez wyrachowania: zawsze i w grze każdéj rządzę się rozumem.

— Nie wierzę temu Milordzie — odrzekła księżna B. — gdyby tak było, sam powiedź, czyżbyś mógł grać tak wysoko!

I najniewinniéj może, osoba najdelikatniejsza i daleka wszelkiej złośliwości, ugodziła szlachetnego Lorda w sposób najboleśniejszy.

74.

— Królu! — zagaił sławny z niewyczerpanego krasomówstwa Superintendent — witają ciebie tysiące i tysiące: i jeszcze tysiące tysięcy!

— Bardzo dziękuję! — odrzekł Fryderyk Wilhelm IV, — proszę też im pokłonić odemnie: każdemu z osobna.

75.

Znany jeden niemiecki uczony, ale z liczby tych nieszczérych i niebezpiecznych ludzi, którzy wolą być grzecznymi, niż obowiązanymi do ścisłej sumienności i szlachetnéj prawdy, zastawszy raz żonę Fryderyka Schleg'la (córkę znakomitego Mojżesza Mendelsohna) zajętą szyciem, nie mógł się dość oddziwić i wyżalić: że kobiéta powołana na ozdobę, chlubę, i przewodniczą pochodnią naszego wieku, czyni taką krzywdę towarzystwu i może się zajmować podobną pracą.

— Słyszałam nieraz — odpowiedziała pełna rozumu niewiasta — że książek ma być już za wiele: alem nie słyszała nigdy, aby się uskarżano na wielką liczbę koszul.

76.

Matka najbogatszych, za dni naszych, synów, Pani Rotszyld żyjąca dotąd w Frankfurcie, jest już blisko stuletnią. Mimo to, posiada charakter nader łatwy i całą świeżość umysłu. Niedawno trochę niedomagając, wymawiała żartem swojemu lekarzowi: że ją widocznie zaniedbuje i uważa zapewne za urojoną chorą, gdyż przepisuje takie lekarstwa, które nic a nic nie skutkują.

— Ależ choćbym ja zawołał całą naszę archandriją — odparł lekarz — to i tak nie potrafimy Pani odmłodzić.

— Ja też panów o to bynajmniéj nie proszę — odpowiedziała staruszka — jabym chciała postarzéć, postarzéć!

77.

Niedawno, odpowiedzialny wydawca Duńskiéj Gazety *Faedrenelandch* (ojczyzna) niejaki P. *Gjoedwad* skazanym był na 2,500 talarów nawiązki, za umieszczenie w swém piśmie nieprzyzwoitego artykułu. Biedny Duńczyk, nie posiadał ani setnej części téj summy: a więc przystąpiono do opisania i przedaży z licytacii majątku. Składał się on, jak wnieść łatwo, całkowicie z książek. Najpierwszą z nich, wziętą pod licitaciją były głośne *Zdania Roszfuko* ocenione 16 szyllingów (około 40 groszy). Bukiniści zaczęli byli naddawać po szyllingu, gdy w tém dało się słyszéć: „3,000 talarów!“ Szlachetnym tym nabywcą, godnym wiecznéj pamięci, był kupiec *Falkenberg*.

78.

Walter-Skott miał uprzywilejowanego żebraka, któremu dawał zawsze po sześć

pensów. Raz nie mając drobnéj monety i dając mu cały szylling: — „pamiętaj że — rzekł — *Nacie*, żeś mi winien sześć pensów.“

— O będę pamiętał: — odpowiedział żebrak — niech tylko Bóg da wam Panie, doczekać w dobrém zdrowiu, póki się nieuiszczę z tego długu.

79.

Soulié będąc w Bruksellі, proszonym był o kilka słów do album. Pisarz francuzki mszcząc się za siebie i za swoich, nad *przedrukowującém* miastem, napisał:

„Niniejszém świadczę że mój podpis nie jest podrobionym. Dan w Bruksellі i t. d.

Fryderyk Soulié.“

80.

Jeden z genijalnych kompozytorów paryzkich, człowiek młody, szlachetny i bynajmniéj nie hołdujący mamonie, prosił usilnie kilku osób, aby go zapoznały z Rotszyldem.

Gdy się dziwiono temu i starano się dójść przyczyny, dla czego też on tak bardzo napiéra się téj znajomości, odezwał się sławny niemiecki poeta Henryk Hejne: „To przecięż

rzecz jasna! Chce on zaznajomić się z Rotszyldem, dla tego, że go niezna."

81.

Walter-Skott często powtarzał: że między wielą innémi, nie pojmuje tajemnicy: dla czego pies, nim się do snu układnie, musi wprzódy trzy razy obrócić się w koło?

Pope wszakże, który też zastanawiał się nad tém, tłómaczy tę rzecz bardzo dostatecznie. Powiada on, że to jest skutkiem mimowolnego wrodzonego instynktu. Pies w stanie dzikim obiera sobie legowisko w gęstéj trawie: stara się więc ugnieść ją wprzódy, aby mieć miększe posłanie. — Tak, podobnie kot domowy drapie, w pewnym razie, kilkakrotnie łapami po posadzce, starając się zachować jakiś obrzęd, którego już zapewne i niepojmuje: jak i my nie pojmujemy wielu zwyczajów naszéj etykiety.

82.

Jeden z prowincijonalnych bankierów, zarobiwszy miljon franków na spekulacii w któréj miał udział z Rotszyldem, stawił się wkrótce potém na Giełdzie paryzkiéj, i trafiwszy właśnie znowu na jakieś ważne

przedsięwzięcie, chciał doń należeć, powtarzając: że ma miljon w pogotowiu.

— Ach! daj że nam Pan pokój ze swoim *nieszczęśliwym* miljonem! — odezwał się Rotszyld.

83.

Lecz oto jeszcze znamienitszy przykład *Krezusowéj naiwności!* Po śmierci okrzyczanego z bogactw, Hiszpańskiego bankiera *Aguado*, znaleziono w gotowych summach sześćdziesiąt miljonów.

Gdy powiedziano o tém Rotszyldowi, który żył z Aguado w ścisłéj przyjaźni, zawołał on ze szczérém miljonowém uczuciem:

— Biedny Aguado! miałem go za nierównie bogatszego!

84.

Ktoś zrobił pełną prawdy uwagę: że nie ma smutniéjszéj pociechy dla człowieka, który dożył już lat czterdziestu, jak gdy go nazywają młodym, i mają za cóś obiecującego.

85.

Zaślepiona w swym jedynaku matka, trapiła się tém tylko: że Feliś przywykł

z dzieciństwa władać lepiéj lewą ręką niż prawą. Dziecko było z resztą pełne dowcipu, szlachetnéj dumy, godności: słowem, było roskoszą gości i szczęściem matki.

Raz Feliś nie mogąc w czémś przekonać swéj staréj upartéj bony, utaił rozsądnie na czas niejaki zemstę, przystawił sobie stołeczek, skradł się z nienacka, i uderzył w twarz staruszkę.

Matka weszła właśnie na przygotowania, i przewidując cóś dowcipnego, nie chciała ich przerywać. Ale gdy się już wszystko stało, krzyknęła z bolem serca: — „I znowu lewą ręką, Felisiu!"

Chcielibyśmy przydać najszczérzéj: że to jest dawna odegrzana anegdota, i zdarzona w obcych krajach.

86.

Od lat kilku trzymano w najściślejszém więzieniu człowieka, który za nic w świecie nie chciał odstąpić niewinnego skądinąd i spólnego wielu uczonym przekonania: że jest najuczeńszym mężem naszego czasu.

Nagle nastąpiła stanowcza zmiana w sposobie myśli więźnia: złożył wieniec laurowy, wyrzekł się wszystkich swych tytułów, nie-

śmiertelnych dzieł i teorii: wyznał ze skruchą, że nic a nic nie umie.

Za tę rzadką skromność, natychmiast wypuszczono go ze szpitala.

87.

— Co też to za smutne upodobanie w tych wiecznych kłębach dymu! zamiast czystego bożego powietrza, wciągasz w siebie truciznę, i tém jesteś winniéjszy że trujesz nią i drugich.

— Jako otruwacz, oto rzucam za okno, kochana Ciociu, moje biedne cygaro: choć mi go żal trochę, bo prawdziwe Hawańskie; ale jako trujący się, mam za sobą podobny dowod, jakiego użył niegdyś Wolter w obronie kawy. Jeśliby palenie tytoniu było trucizną, to czyżby pułkownik mój wujaszek, który od rana do wieczora nie wypuszcza z ust fajki, dożył lat siedmdziesięciu?

— I cóż ztąd! jestem pewną — odpowiedziała zapędziwszy się Ciocia — że jeśliby on nie skracał sobie wieku tą nieszczęśliwą fajką, to jużby może dożył lat ośmdziesięciu!

88.

— Skądże to masz i dokąd prowadzisz tego ładnego chłopczyka?

— Że ładny, to rzecz najmniéjsza! Ale to jest rzadkie dziecko! wyobraź sobie, ma już czwarty rok, a jeszcze nie gra ani na skrzypcach, ani na fortepijanie, ani w preferansa — i nie pali cygara!

89.

Najniepodobniéjsze namiętności, dość często spotykają się i krzyżują z sobą w jednym człowieku: podobnie jak na morzu wieją niekiedy spółcześnie wiatry w przeciwnym kierunku. Sławny ze skępstwa i pretensii arystokratycznych Pan * pełen był dowcipnych wybiegów, ilekroć się, zbiegały i należało pogodzić te dwa sprzeczne żywioły.

Uczęstować gościa muzyką, odwiecznym jakimś sztambuchem, szklanką krynicznéj wody na ciężkiéj srebrnéj tacy, cygarami domowego wyrobu, partiją billardu *NB.* dzienną, wodną przejażdżką, przechadzką po ogrodzie, fabrykach, stajniach, owczarniach i t. d. udarować na odjeździe bukietem zesmutniałych już georgin, i usadowiwszy z pewnością do pojazdu, zapraszać na obiad lub nocleg — wszystkie te wynalaski wiekuistego przemysłu skępstwa, nabywały nowego wdzięku od słów i niewinnéj uprzéjmości gospodarza.

Oto jeden z wielu przykładów.

W gorący dzień letni, zawitał do Pana * gość, takiéj właśnie tuszy, z jaką najtrudniéj jest na bożym świecie o téj porze roku. Gospodarz rad był bardzo łaskawemu sąsiadowi, ale widział jak na dłoni, że ani sposobu myślenia o bilardzie lub oprowadzaniu po fabrykach.

Po kilku więc przegrawkach: o upale, urodzajach i Abdel-Kaderze, rzekł uprzéjmie:

— Ale czy nie życzyłbyś Pan trochę się odświeżyć?

— Bardzo chętnie. W istocie, tak jest gorąco!

— Héj! Jest tam kto?

Weszli dwaj służący w liberii jakby dziś uszytéj.

— Otworzyć nam tu okna od strony północnéj! — A ty każ stangretowi, aby pokazał człowiekowi Pana Sędziego: gdzie się pławią konie? —

— Chciéj Pan być w téj mierze spokojnym — mówił daléj obracając się do gościa. Ręczam Pana z doświadczenia, że pławienie koni, choćby w największą spiekę, nigdy im nie szkodzi. Cały sekret na tém, aby zaraz skoro z wody, zaprzęgać, i dobrą wiorstę

ujechać sporym kłusem. Jeżdżąc rok-rocznie, właśnie w tym czasie, do Berdyczewa, zdarza mi się czasem pławić konie po trzy i cztéry razy na dzień: i nigdy nie miałem przypadku.

Łatwo zgadnąć, że spotniały Pan sędzia, który siedział przy otwartém od strony północnéj oknie, i naturalnie lękał się wszelkich ciągów, mianowicie letnich — a przytém miał bardzo piękne konie własnego chowu, był ciągle jak na szpilkach i nie osiedział się długo.

W miarę oczywistych przygotowań do wyjazdu, gospodarz stawał się natarczywszym w propozycijach obiadu: nakoniec już na wsiadaném, upatrzywszy jakąś daleką chmurę na horyzoncie, zalecał furmanowi, aby przynajmniéj starał się ściągnąć przed deszczem do *wygody*.

Było to nazwisko karczmy należącéj do bohatera naszéj anegdoty.

90.

Za powrótem z za granicy, młody Hrabia opowiadał swojemu sąsiadowi Pana Chorążemu, o nowych na wagę srébra przedających się nawozach, jak: *noir animalisé, guano* i t. d.

— Tak to tak! kochany Panie Chorąży! — przydał — wkrótce na cały poletek dość będzie szczypty cudownego proszku, która da się umieścić w kieszonce od kamizelki!

— A w kieszonce drugiéj użątek! — odpowiedział z flegmą Pan Chorąży.

91.

Stój! trzymaj! — wołał zadyszany kupczyk, pędząc jakiegoś sampana, który walecznie przed nim krzesał podkówkami. Nakoniec dognał go przecięż.

— Stój! toś ty wybił okno w naszym magazynie?

— A rozumie się! Ale na co mię Pan zatrzymujesz? albo-ż nie widzisz, że co tchu biegnę do domu po pieniądze: aby ci natychmiast zapłacić za tę szkodę?

92.

Lord Namiestnik Irlandji wyjeżdżał z żoną na kilka dni z Dublinu. W chwili gdy wsiadali do pojazdu, stojąca przy ganku staruszka, która nieraz miała od nich jałmużnę śród obfitych życzeń szczęśliwéj podróży oświadczyła: że téj nocy miała szczególny sen o obójgu Panach.

— Cóż ci się śniło? — spytał Lord.

— Śniło mi się, łaskawy Panie, żem od waszéj szlachetności dostała funt cukru, a od mojéj dobrej Pani funcik herbaty.

Namiestnik odpowiedział z uśmiechem: że sny nie zawsze się sprawdzają, i że często należy je tłumaczyć przeciwnie.

— Nie przeczę temu, łaskawy Panie! — odrzekła kłaniając się staruszka — Jam sobie prosta kobiéta. W takim razie dla mnie wszystko jedno. Wasza dostojność raczysz mi roskazać dać funcik herbaty: a moja najłaskawsze Pani — cukru.

93.

Szyderczy dowcip francuzki nie oszczędza najczystszej nawet i najpiękniéjszej sławy, bądź obcej bądź własnéj: byleby sposobność do mignienia choć skrą jedną. I powszechnie szanowane, prawdziwie piękne i wielkie imie sędziwego Chateaubriand'a nieraz bywa podaném na pośmiech.

Niedawno, w jedném z pierwszych towarzystw Paryża, ktoś odezwał się z użaleniem: że znamienity starzec zaczyna słuch tracić.

— To tylko złudzenie! — odrzekła sławna z dowcipu gospodyni — o Szatobrijanie przestano zupełnie mówić od niejakiego czasu; a więc mu się zdaje, że ogłuchł.

94.

— Zazdrość jest to skępstwo serca! — rzekła raz sentymentalna Hrabina *.

— Ładnie powiedziano, moja siostro! tylko mi się nie rzucaj w przeciwną ostateczność, och! bo i rozrzutność to też nic dobrego!

95.

— Dwuch posług strzegłem się w mém życiu: — mówił jeden praktyczny filozof — nie odnosić cudzych listów na pocztę, i nie wprowadzać nowych osob do znajomych mi domów.

Gdy list nie miłéj jest treści dla odbierającego, naturalnie, że najczęściej pozostaje bez odpowiedzi: a więc piszący myśli sobie w duchu, że list nie został oddanym.

Gdy nowo wprowadzony jest gościem nudnym, lub nie dość zręcznym, aby mógł wpaść od razu na ton domu, (co, prawdę mówiąc, dość nawet nie łatwo) wina przy

nas, żeśmy uciemiężyli gospodarzy tą smutną figurą. Jeśli rozumny i ze szczęśliwym taktem, ściągnie odtąd na siebie jednego całą uwagę, a nas za fatygę zostawi w cieniu.

96.

Napoleon mówił o kimś: — Jest to człowiek tak nieszczęśliwy, że jeśliby nawet upadł na wznak, to i tą razą nie obeszłoby się bez stłuczenia nosa.

97.

Po pierwszéj mustrze świeżo zebranej drużyny pruskiego Landwehru, major rospuszczając do domów to srogie wojsko, zapowiedział: aby nazajutrz stawili się wszyscy na czwartą godzinę z rana. Jakoż o naznaczonéj porze odezwali się wszyscy do *apelu*, prócz jednego parobczaka, który zjawił się dopiéro o siódméj.

— Jakeś śmiał przyjść tak późno? — zawołał major — albo żem nie kazał zejść się wszystkim o czwartéj?

— Kazać Pan kazałeś, ależ kiedy mi gospodyni powiedziała: „ani się waż póki nie zbijesz całej baryłki masła! bo inaczéj — mówi — nie dostaniesz śniadania!“

98.

Ubogiemu człowiekowi, ciemnéj nader cery, rzekł jeden niewczesny żartowniś: — W ostatnim razie mógłbyś przedać, mój kochany, tę miedź co masz na twarzy i czole: zawsze by ci stąd przyszło jakie kilka groszy.

— Już mi to radzono, łaskawy Panie, i chodziłem z tém do kotlarza: ale on nie tylko że nic dać niechciał, ale jeszcze nazwał przedemną głupim tego kto mówi: że to jest miedź.

99.

Abdul Hedżar, brat Muhameda króla Grenady, za podniesienie rokoszu wtrąconym był do ścisłego więzienia. Upłynęło lat kilka, więzień był zawsze spokojnym i nie przestawał ufać niebu: gdy w chorobliwym przystępie przyszło raz na myśl niedołężnemu królowi: że Abdul może się wydostać z więzienia i pozbawić go tronu. Dał więc rozkaz, aby go natychmiast stracono. Urzędnik królewski z siepaczem zastali Abdula nad partiją szachów. Prosił on o parę godzin czasu — urzędnik dał poznać, że mu niepodobna rozrządzać czasem w sposob określony.

Abdul pojął go i prosił o pozwolenie dokończenia przynajmniéj partii. To było można. Łatwo pojąć, że w téj grze ostatniéj Abdul bronił się walecznie, ale też i nie zbyt nastawał na swojego przeciwnika. Lecz nie upłynęło jeszcze godziny, gdy wpadł zadyszany goniec z oznajmieniem: że Mahmud rażony apopleksiją umarł, a królem jednogłośnie obwołany Abdul.

— Niech będą dzięki Allahowi! otoż najlepsza i najtrudniejsza partija jaką kiedy udało mi się wygrać! — rzekł znamienity więzień z tą piękną mocą i spokojnością ducha, jaką nadaje długie nieszczęście, a niebo lubi nieraz nagradzać w ostatniéj chwili.

100.

Nuszirwan Szach Perski, nazwany *sprawiedliwym*, posyłając raz z polowania po trochę soli do sąsiedniéj wioski, zalecał pod karą śmierci, aby nie ważno się wziąć jéj bezpłatnie.

— Aż śmierć za szczyptę soli! — rzekł śmiało jeden z dworzan — Tyle Bóg dał téj słonéj ziemi: a życie raz tylko, i tak krótkie, i tak mało w niém dobrego!

— Mój kochany! — odpowiedział łagodnie Nuszirwan — niech panujący pozwoli tylko sobie zerwać jedno jabłko w ogrodzie którego z poddanych: to dworzanie nazajutrz zrąbą pewnie i samo drzewo.

101.

— Zgadnij, duszko, kto otrzymał *premium* na teraźniejszéj wystawie bydła? Ja!! — twój Grzesio!! —

102.

— Panie Dozorco! chi! chi! chi! A ja cóś wiem! wiem i powiem Panu: dla czego *b* różni się od *d?* — „*b* ma sobie garbek z przodu: a *d* ma sobie garbek z tyłu!“

— Idź że, mój Panie grammatyku, i postój pół-godziny w kącie z tą wiadomością!

— A za co mam pójść? kiedy niesprawiedliwie! Ja to przeczytałem w książce drukowanéj.

— Książka drukowana nie sakrament. Idź mi w kąt zaraz!

— Ale kiedy to jest w książce Pana K. którego Pan nam pozwoliłeś i zalecasz czytać!

— W żadném dziele Pana K. tego mi nie pokażesz.

— I bardzo pokażę! — ot i jest!

Pan Dozorca wziął książkę, odczytał wskazane miejsce raz i drugi, zamyślił się nieco, potém wziąwszy ołówek zaczernił mocno tę szczególną uwagę grammatyczną, i powiedział chłopcom krótko: że to jest albo błąd przepisującego, albo myłka drukarska, albo *allegorija!*

103.

— Czytałeś Pan *Kataleptyka?*

— Naturalnie, żem czytał.

— I cóż to jest?

— Jakież to mi Pan robisz pytanie? Jest to nowa powieść naszéj znamienitéj autorki — napisana we dwuch tomach.

— Ale w jakim celu? pytam Pana.

— A ja mu nic nie odpowiem, na to pytanie.

— Dla czegoż by?

— Ot lubię mieć taką samę fantaziją, jaką miała sławna autorka pisząc swą powieść.

104.

Ludwik XIV, dręczony raz bezsennością, napisał jakieś wiersze. Nazajutrz przywoławszy Boileau, przeczytał mu je z przyzwoitym zapałem, i w postawie skruszonéj czekał wyroku.

— Waszéj królewskiéj mości — rzekł Boileau, cedząc nieźmiernie powoli, jak gdyby znajdował jakieś niewymówne upodobanie w dręczeniu najjaśniejszego nowicijusza — Waszéj królewskiéj mości nie ma nic niepodobnego. Chciałeś najjaśniejszy Panie, napisać złe wiersze: to i w tém poszczęściło się ci jak najcudowniéj.

105.

Na oknie jednego z domów zajezdnych, Pan Sędzia * wypisał, jako materijał historyczny, że roku *** miesiąca ** dnia * jadąc na Wołyń i Ukrainę, popasał w tém miejscu.

— Któś z bliskich widać znajomych P. Sędziego, dodał:

— A ktobykolwiek nie tylko z Wołynia, lecz choć z Ukrainy całego świata, trafił do domu Pana Sędziego * to ręczę słowem sąsiedzkiém, że nie będzie popasał.

A więc, dla honoru Litwy, wszystkich łaskawych Panów moich proszę bez żadnéj subiekcji do mnie do ** i będę czekał z obiadkiem, punkt o dwunastéj.

106.

Z powodu wynikłego sporu, któréj strony trzymać się należy urzędnikom wojskowym i świeckim postępując w Sułtańskim orszaku? jeden z Sułtanów wydał pamiętny wyrok: że odtąd strona lewa ma być uważaną za zaszczytniejszą dla wojskowych, prawa zaś dla świeckich.

107.

Najogromniejszy spółczesny basista *Lablache* posiada też i tuszę nieobejrzanéj objętości. Raz w Wiedniu, zawołany fijakr podjechał, popatrzył nań uważnie i oświadczył: że wieść go całego odrazu, nie podejmuje się.

108.

Komik wędrownéj jednéj trupy, dość często i jawnie uciekał się do bożka, albo jak chcą chemicy, do gazu wesołości. Raz zacząwszy chrypliwym głosem jakąś piosnkę,

na wyrazie *„powracam“* — zakaszlał się i uciął.

— Z szyneczku! — podpowiedział ktoś z jarmarkowéj publiczności.

— Jakbyś Pan tam był! — odrzekł artysta z pokornym ukłonem.

109.

Znamienity tragik angielski Kin (*Kean*) po wysłuchaniu deklamacii jakiegoś nieszczęśliwego aktora, który chciał być przyjętym do królewskiego teatru, spytał go: czy grywał przecię kiedy role tragiczne na teatrach Londynu?

— Występowałem w roli *Abla*. — odpowiedział aktor.

— Co w roli *Abla!* — zawołał Kin — powiedz Pan raczéj w roli *Kaina!* — bom pewny żeś musiał na śmierć zabić Abla.

110.

— Jakże poszły Panu Ludwikowi ekzamina?

Młodzieniec szczerwienił się, jak mak, na to pytanie.

— Pan go nabawiłeś subjekcii — rzekła uszczęśliwiona ze sposobności matka.—Chwa-

ła Bogu, poszło mu dobrze, nawet bardzo dobrze. Wszyscy nauczyciele tak byli radzi z jego odpowiedzi, że w moich oczach zobowiązali: aby po wakacijach zrobił im raz jeszcze *satysfakcij ą*, i powtórzył przed nimi swój ekzamen. Nie wstydź się Ludwisiu! powinnam ci oddać świadectwo, że nawet nie lubisz, gdy zaczynam o tém: ale ponieważ wszystko odbyło się w moich oczach, więc jako matce, nikt mi zapewne nie weźmie tego za złe.

111.

Sławny z zadziwiającéj zręczności *Debler* pokazując w jednéin niemieckiém mieście swe błyskawiczne sztuki, był narażonym na ciągłe przygany jakiegoś widza, który stojąc o parę kroków od jego czarodziejskiego stołu, nie przestawał powtarzać po każdéj sztuce: że *Bosko* zrobił by to bez porównania lepiéj.

Zniecierpliwiony *prestigiator* odwraca się nakoniec do swojego Zoila, i widzi przed sobą jakąś figurę gapiowatą, obdartą i ze wszystkiemi symptomatami bawarskiéj opiłości.

Szanowna publiczność mi przebaczy — rzekł Debler z ukłonem — że dla pana zro-

bię mały improwizowany ustęp od programmatu dzisiejszych sztuk moich. Zrobię to, czegoś Pan zapewne nie dopatrzył się jeszcze na żadném przedstawieniu Pana Bosko. Bo jest to własny mój sekret. Patrz Pan i nie lękaj się bolu: oto mu dam policzek, a ten Pan oto, co posługuje orkiestrze, uczuje *ból* od uderzenia.

I łącząc rzecz z przemową wyciął niemcowi odlewany niby-policzek: a dowcipny gasiświeczka oburącz za twarz się uchwycił.

112.

Homeopatyczny Doktor *, jeden z najwierniejszych uczniów *Hannemanna*, leczył długo na jakiś zastarzały kaszel Pana ** bogatego kupca. Choremu sprzykrzyło się nakoniec to codzienne wąchanie, *z mocną wiarą*, jakichś tajemniczych pigułek: przyczém Doktor wydziwiał i tyrannizował najniemiłosierniéj: to zalecając nie zbliżać zbyt nosa aby *haust* nie był nader silny i nie stał się niebezpiecznym, to zakazując od téj chwili przez godzin piętnaście ani pomyślić nawet o tabace, (a jakże nie pomyślić, mając pamiętać a samym zakazie)? to wymuszając co-

dzień na chorym nowe homeopatyczne wyznanie wiary i odprzysiężenie się wszystkich bałamuctw *allopatii* — słowem, gdy pomimo najświętszéj cierpliwości i nieograniczonego posłuszeństwa, kaszel nie ustawał, chory, jednego pięknego poranku, uzbroił się w odwagę, i postanowił zerwać na zawsze ze swoim konsylijarzem.

— Dobroć i poświęcenie się Pana Konsyliarza Dobrodzieja mojego, aczkolwiek nieocenione — rzekł obracając w ręku tabakierkę.

— Ale cóż to jest? — krzyknął lekarz cofając się na pół kroku — tabakierka?!

— A tabakierka! — odpowiedział kupiec tonem wyłamującego się z posłuszeństwa.

— Choć jestem pewnym, że bez tabaki, zawsze jednak rzuć ją Pan zaraz do licha!

— W tabakierce znajduje się tabaka, i obójga tego nie porzucę! — odparł kupiec, i jakby dla zapieczętowania buntu i odjęcia sobie nawet możności spodziewania się amnestii, otworzył tabakierkę i zażył tabaki.

— Nieszczęśliwy! wieszże cóś zrobił? zabiłeś sześcioniedzielną najpomyślniéj prowadzoną kuraciją!

— Szczęśliwy czy nieszczęśliwy, z tego się panu nie spowiadałem. A nie zabiłem

nikogo: bo pańska kuracija *nic!* — jeszcze więcéj niż *nic!*

Lekarz. Od tej chwili ja się Pana stanowczo wyrzekam.

Chory. I owszem. Ja sam tego stanowczo chcę.

Lekarz. Czekam zatém tylko... *gratyfikacii.*

Chory. Naprzykład? cóżby?

Lekarz. Przyjmę sto rubli srebrem.

Chory. Aż sto rubli srebrem!

Lekarz: Mniéj ani feniga.

Chory. Bardzo dobrze. Natychmiast. — Oto jest naprzód słoiczek z pańskiémi pigułkami! Wracam je Panu nietknięte: a więc jeśli tylko szkło się utrzyma i cud przypadkiem nie zwietrzeje, to wystarczy go Panu na najszczęśliwszą praktykę, w setne lata!

Potém odemknął kantorek, wyjął dwie piędziesięcio-rublowe srebrne assygnaty, i prosząc Konsylijarza o powąchanie *gratyfikacii* z mocną wiarą, tak jednak aby *haust* nie był zbyt silny, najspokojniéj schował bauknoty nazad do kantorka.

113.

Chcąc zmieszać Szekspira, występującego w jednéj ze sztuk swych w roli królu, i-

wydającego właśnie roskazy, królowa Elżbieta, niby od niechcenia rzuciła z loży chustkę, tak że mu ona upadła pod nogi.

— „Lecz nim spełnicie nasze roskazy, Lordowie — rzekł nie zatrzymując się ani na chwilę ten najgenialniéjszy człowiek — śpieszcie podnieść chustkę naszéj najjaśniéjszéj siostry!"

114.

— Mówiliśmy tylko co o cudach magnetyzmu, i dobrze że mamy wreście Pana rzekła gospodyni do wchodzącego Pana S.— musisz nam powiedzieć, ale szczérze, co też trzymasz o tej najdziwniéjszéj z zagadek naszego życia?

— Dla czegoż ten warunek: *ale szczerze?* chciéj mi Pani wytłómaczyć się czy to jest obmyślona *impertynencija?* abym wiedział, jak mam się nagniewać?

— I broń Boże, żadnéj *impertynencii*, ani cienia, ani nawet przeszłoroczném. Chciałam tylko zamówić sobie z góry szczérą uczoność i powagę pańską w przedmiocie tak poważnym: bo nas często zbywasz żartami.

— Ale kiedyż są przedmioty, o których poważnie mówić nie pozwala sumienie. Wła-

śnie do ich liczby należy, zda mi się, i magnetyzm. Jest on, jak ten księżyc, który tak ładnie świeci nam w okna, jak gdyby się przysłuchiwał naszéj rozmowie. Zaprzeczyć jego bytności i wielorakiego wpływu nie podobna: wszystko jednak co od wieków bywa powtarzaném o jego mieszkańcach, roślinności, górach, wulkanach, a nawet *aerolitach* (wyjąwszy kilka suchych prawd, ściśle astronomicznych) mówi się w sposób żartobliwy. Podobnież się rzecz ma z magnetyzmem. Odrzucać jego cudów niepodobna: ale też i ciskać kamienie na niedowierzających byłoby może za wcześnie: gdyż cuda nie zawsze stają na zawołanie, i zbyt mało jeszcze rozpatrzyliśmy się w tych ciemnościach. — Skądinąd tak nazwany *sztuczny magnetyzm* na nieszczęście za wiele okazuje powolności rachubom naszego wieku, przyjmuje łatwo barwę rzemiosła i przemysłu, gonią tedy za nim hurmem: podejrzenia, szyderstwa, potwarze, a niekiedy nawet jawne i sprawdzone dowody. Co do mnie, wyznam szczérze, że daleko bardziéj wolę podziwiać tę czystszą samorodną gałęź magnetyzmu, znaną od wieków pod szlachetném nazwiskiem *sympatii*. Byłem raz nawet, w mojéj młodo-

ści, świadkiem cudu sympatii, na który patrzyłem wtedy z dreszczem serca, teraz zaś gdy to świętéj pamięci serce pogasło już, spopielało, i gdy o jego cudownéin niegdyś zgliszczu dla tego tylko zamarzy mi się czasem, że z tego boku nosiło się pałasz — teraz nawet o cudach sympatii mogę opowiadać z uśmiechem. Bo jak też nie zaśmiać się nad sobą, na przypomnienie, że się było młodym, a może nawet i ładnym porucznikiem od ułanów, żem był dnia tego posyłanym od Marszałka * dla ostatecznego wezwania miasta Wiednia do kapitulacii, żem obowiązany był grozić jak wielki wezyr — i żem musiał być straszniéjszy na moim siwym koniu od w. wezyra: bo miasto kapitulowało! tegoż samego wieczora, obiadowaliśmy w Wiedniu, całym sztabem, u naszego pułkownika. Z parę tygodni przedtém, spacerując gzygzakiem po nad Dunajem, trochę otoczeni i zaambarassowani — jeśli kto o tém pamięta — nim nakoniec sam Cesarz przypomniał sobie o nas, i otworzył nam drogę do Wiednia, naturalnie musieliśmy mieć jak najlepsze usposobienie do sławnéj wiedeńskiéj kuchni. Siedzieliśmy długo przy stole, śród żartów, śmiechów, rozpamiętywania dzisiejszych i-

wczorajszych cudów — choć dość ich było na każdy dzień z osobna — gdy w tém ktoś zrobił uwagę: że Major W. jeden z najweselszych ludzi, który nam przed chwilą wykładał teoriją rozbierania kapłona, spoczywa już na laurach.

Spójrzeliśmy. W rzeczy samej kochany nasz major spał snem zasłużonym, głośnym, szczéro - bohaterskim.

— *Iście* Panie, jak stary Jenerał *Zitten!* (*) — odezwał się kapitan D.

— „Gdy raz był zasnął u królewskiego stołu.“ — podchwycił inny kolega.

— Półkownikowi zatém pozostaje dodać: „niech śpi: gdyż dosyć on za nas czuwał!“ dokończył płatnik.

— W rzeczy samój nie budźcie go! —

(*) Nie jest nam niewiadomo, że Jenerał *Zitten* oddawna ma przywiléj znajdowania się na czele anegdot o wszystkich *pewnych kawalerach*, *gładkich białogłowach i zacnych matronach:* uszanowawszy wszakże w tém miejscu pamięć Jenerała, nie. ubliżymy dostojeństwu naszej *kompilacii*, i nie zniżymy się do odpowiedzi na jakiebądź inne z tego względu zarzuty.

rzekł śmiejąc się półkownik. Nie obudziliśmy i zrobiliśmy najgorzej.

Bo major miał sen taki:

Widział przed sobą swą paduańską narzeczoną *Biankę* L. W białej sukni, trzymała ona w jedném ręku brylantowy ślubny bukiet, w drugiém flaszeczkę z jakimś bladozielonawym płynem.

—Bukiet ten to dar Hrabiego * i wola moich rodziców!—rzekła z dzikim uśmiechem.

—A to— mówiła wypijając przez pół truciznę—moja i twoja przysięga, *caro mio!* masz-li odwagę?...

Zapytywać majora o odwagę, było jedno co trącić w odwiedziony kurek.

Pocałował on swą wierną Biankę w czoło i obie oczy, pochwycił i spełnił duszkiem podaną truciznę — i już się nam nie obudził. Skończyłem.

—Zapewne, że to jest bardzo dziwne i tragiczne spółczucie!—rzekła śmiejąc się gospodyni—ale dziwniéjsza jeszcze, że panowie mogliście tak dokładnie *zredagować* przedśmiertny sen Majora!

—Jakby też on nie mógł zostawić po sobie pamiętników!— odparł z powagą opo-

wiadający. — Jeżeli to jednak pani nie wystarcza, to podobnym prawie sposobem mógłbym zachwiać całą jéj wiarę w sny magnetyczne. Wszak spisują się one przez kogoś innego, i redakcja ma w téj mierze najzupełniéjszą swobodę, bo jasnowidzący nie dochowuje żadnych wspomnień po przebudzeniu — a tyle mar cudownych ugania i opowiada we śnie, że podobnie, jak się zdarza i w naszych biednych snach zwyczajnych, tysiączne pięćsetne pięćdziesiąte marzenie i sprawdza się niekiedy.

— Zatém jasnowidzący nie różniliby się od ludzi w głos marzących? — rzekł ktoś z towarzystwa.

— O i bardzo! — odpowiedział Pan S. — Jasnowidzący opowiadają rzeczy najniewinniéjsze i z rzadkim taktem uchylają się od pytań drażliwych. Ludzie zaś mówiący we śnie, których z tego powodu możnaby nazwać słusznie *nie — jasno widzącymi*, prawią o wszystkiém w świecie, zupełnie *jakby na jawie*.

115.

W małém jedném mieście Francuzkiém, był długo burmistrzem niejaki *Hossant*,

człowiek bardzo bogaty, ale tak miałkiego rozumu, że z czasem weszło w okoliczne przysłowie, gdy chciano kogo nazwać głupim, mówić: *to jest istny Hossant!*

Raz w traktijerze dwaj młodzi ludzie grali w szachy. Jeden z nich który już miał grę w ręku i stracił ją przez nieuwagę, odsuwając od siebie szachownicę, zawołał z gniewem: „prawdziwy ze mnie *Hossant!*"

Nieszczęściem w liczbie osób przypatrujących się grze znajdował się sam Burmistrz.

—Pan jesteś głupiec! rzekł on popędliwie.

Młodzieniec obejrzał się, i poznawszy zacnego urzędnika, odpowiedział bez namysłu:—„Tak jest! właśnie to chciałem powiedzieć!"

116.

Ośmdziesięcioletni Ksiądz Desmarès będąc przedstawionym Ludwikowi XIV, w Liancourt, oświadczył nieśmiało iż chce go prosić o jednę łaskę.

— Najchętniéj — odpowiedział król z dobrocią.

— Panie! — rzekł starzec — pozwól mi włożyć moje okulary, abym ci się mógł lepiej przypatrzéć.

117.

Sławny ze swojego rostargnienia Doktor *Tyllotson*, członek francuzkiej akademii *de Maiseaux*, i jeszcze dwuch jakichś uczonych, jechali z Londynu do Windsoru na wiéjski obiad. W drodze wszczął się pomiędzy jadącymi żwawy spór literacki, śród którego Panu de Maiseaux zdało się że pojazd szedł bardzo powoli. Otworzywszy więc okno u karety zawołał na woźnicę: *allons donc! allons donc!*

— If you please, Gentleman! (Jak się Panu podoba!) odmruknął fijakr obojętnie.

Spór nie ustawał, i nasi uczeni postrzegli się dopiéro przy miejskich rogatkach: iż bez obiadu wrócili do Londynu.

118.

Gdy Kondeusz po bezskuteczném obleżeniu *Leridy* znajdował się raz na teatrze, powstała na parterze z powodu kłótni kilku osób, taka wrzawa, że niepodobna było zrozumieć sztuki. Książe odróżnił jednego młodzieńca, więcéj niż inni hałasującego: ukazując więc na niego, rzekł głośno do urzędnika policii: „weźcie tego!“

— O nie mości książe! Ja się nazywam *Lerida*, a zatém nie do wzięcia! — odpowiedział nieznajomy i śród głośnego śmiechu całego parteru, który natychmiast dał mu miejsce, znikł w tłumie.

Cóś podobnego powtorzyło się niedawno w Paryżu, z powodu tak głośnego, przez czas niejaki, angielskiego Konsula *Pritcharda.*

(119.

Posyłając do krawca po nową balową suknią, Pani B. rzekła do lokaja: — „Cóś się chmurzy, jeśliby deszcz poszedł, najmiesz sobie karetę!“

Andrzej powrócił niebawem, ale z suknią całkiem zmoczoną.

— Nieszczęśliwy gapiu! nie mówiłamże ci, abyś najął sobie karetę, na przypadek deszczu?

— Ja tak i zrobiłem, Pani!

— Ty, ty niegodziwcze! chciał-byś jeszcze policzyć sobie za fijakra. Skądże by miały być te plamy, gdybyś jechał w karecie!!

— W karecie zaś! I broń Boże, łaskawa Pani! znając moje miejsce, stałem sobie za karetą, a suknią trzymałem pod ręką.

120.

Oto nowy przykład, do jak smutnego stopnia nieczułości doprowadza pijaństwo! — Stary jakiś wyrobnik chwiejący się już na nogach, wszedł nad wieczor do szynku, kazał sobie podać jeszcze półkwarty wódki i spełnił ją duszkiem: lecz nie mogąc już ustać dłużéj, rzucił się na ławę przy piecu stojącą i natychmiast usnął jak martwy.

Nazajutrz gospodarz, który wstał najraniej, znajduje swojego przychodnia śpiącego w najlepsze, chociaż prawa jego noga zajmowała się już nie mal płomieniem. Nie tracąc czasu, wylewa na nię stojące podle wiadro wody i usiłuje ugasić ogień, lecz już było zapróżno! noga spaliła się na węgiel — bo była drewniana.

121.

— Ci ludzie słusznego wzrostu — mawiał Napoleon — mordują mię najbardziej! chcąc ich słyszeć, muszę się zawsze nachylać.

122.

Poeta B. wyzwany na pojedynek, rzekł do swojego przeciwnika stanowczo: — „ponie-

waż już rzeczy tak daleko zaszły, dajmy sobie słowo: iż jeden z nas musi pozostać na miejscu!“

Nieszczęściem wyzywający wierzył w przepowiednią jakiejś sławnéj wróżki: „że nigdy go żaden poeta nie zastrzeli“ i przystał chętnie na słowa Pana R.

— Kiedy tak — zawołał kochanek muz z rozpaczą — a więc na mocy danego mi słowa, proszę abyś Pan tu pozostał, i nie szukał mię nigdzie.

123.

Raz, podczas nabożeństwa w Londyńskim kościele S-go Jakóba, młody jakiś Francuz stojąc przy Lordzie Nort ustawicznie zadawał mu pytania. Lord znosił go cierpliwie, nie odpowiadając bynajmniéj na uszczypliwe uwagi i żarty, których przedmiotem były najznakomitsze w Anglji osoby, znajdujące się w kościele.

— Cóż to za figura? — spytał go nakoniec cudzoziemiec — z którą teraz rozmawia Królowa?

— Jest to Ledy Nort — odpowiedział minister.

— Ależ to czysta mumija! —

— Tak jest. Uchodzimy za najbrzydszą parę w całéj Anglji.

124.

Ludwik XIV, grał raz w szachy z Markizem B. Śród gry przyszło o cóś do sporu, i Markiz nie chciał uledz. Wielu przypatrujących się grze, zachowywało najgłębsze milczenie. Wtém wszedł Hraba Grammont.

— Chodź, chodź Hrabio! — zawołał król, jak tylko go dostrzegł — osądzisz który z nas dwuch ma słuszność za sobą?

— „Markiz B." — odpowiedział Hrabia nie podchodząc do stolika.

— Skąd-że ci to objawienie, Panie Hrabio! — odparł król żywo — gdyś gry nie widział?

— Jeśliby była słuszność ze strony Waszéj królewskiéj mości, czyliżby ci panowie, co oblegają stolik, milczeli?

125.

Pani Maintenon, będąc jeszcze żoną Scarrona; zachwycała słuchaczów darem opowiadania. Raz przy końcu obiadu, lokaj zbliżył się do niéj i rzekł na ucho: „Pani! trzeba

koniecznie anegdoty, bo jeszcze pieczyste nie gotowe.“

126.

Balzac (mówimy tu o Balzaku spółczesnym Kardynała Richelieu) był w wysokim stopniu samolubnym.

Raz gdy go kardynał zapytywał o zdrowie, uszczypliwy *Bautru*, nie dając czasu zapytanemu, odpowiedział ministrowi: „P. Balzac nie może być nigdy zdrów zupełnie: ciągle prawie mówi o sobie, a każdą razą, gdy o tém mówi, zdejmuje kapelusz: naraża się więc ustawicznie na przeziębienie.“

127.

Tenże sam Bautru mając cóś do księcia d'Epernon, wydał sporą książkę pod tytułem: *Znakomite czyny Księcia d'Epernon*, w któréj wszystkie karty były z białego papieru.

128.

Za te i tym podobne pomysły płacono mu czasem kijami. Na nieszczęśnie Bautru kazał zrobić swój wizerunek z laską w ręku. Gdy go raz zapytywano: czyliby to była laska marszałkowska? przytomny temu książe

d'Epernon odpowiedział: „nie widzicież, iż on tu jest przedstawiony jako męczennik, trzymający w ręku narzędzie swéj męki?"

129.

— Czy prawda, kochany Doktorze, że mamy taką śmiertelność, taką straszną śmiertelność?

— Więcéj niż prawda—odpowiedział z powagą Doktor — Jakeśmy się dziś obliczyli na posiedzeniu lekarskiém, to różnica od innych por roku nadzwyczajna.

— Jakaż naprzykład? kochany Doktorze!

— Nie do uwierzenia! Wypada średnią liczbą: że na dwuch chorych, codzień trzech umiéra.

130.

Gdy jeden z najbogatszych paryzkich bankierów naznaczył szczodrą pensiję jakiejś dziewczynie, która jakoby z miłości ku niemu dostała obłąkania, rzekł ktoś złośliwie:— ależ to piekielny wymysł! tym sposobem, wszystkie Paryżanki sprowadzić można z rozumu!

131.

Talleyrand napastowany we własnym do-

mu przez jednego ze swoich wierzycieli, przypomniał sobie jakiś pilny interes do Tuilleries i kazał podać konie.

— Ale kiedyż mi, mości książe, oddasz moję należność? pytał wierzyciel wsiadającego już do pojazdu.

— Jaki Pan jesteś ciekawy! odpowiedział minister.

132.

Talleyrand wrócił raz do Paryża z długiéj podróży.

W jedniém towarzystwie, sławna z dowcipu jednooka Pani T. zapytując go niby o zdrowie i poglądając nieznacznie na chronią nogę, rzekła doń z pewnym przyciskiem: — „Jakże *idzie?* kochany książe!" (Comment va? chez prince!)

— „Jak Pani *widzi*" — odpowiedział Talleyrand, z najuprzejmiejszym wyrazem twarzy.

133.

Raz podczas wojny Amerykańskiéj, do małego pocztu artyllerji, zajmującego się naprawą reduty, podjechał jakiś wojskowy i widząc że cały oddział wytęża usiłowania na podjęcie wielkiéj belki i nie może podołać cię-

żarowi, a jeden żołnierz stoi spokojnie na stronie, zapytał go: czemu nie dopomaga?

— Chciéj Pan się przypatrzyć, żem kapral" — odpowiedział wezwany.

Wojskowy przeprosił go za swoję omyłkę i natychmiast zsiadłszy z konia zaczął jak najszczerzéj pomagać artyllerzystom.

Gdy belka stanęła już na reducie, przybyły ocierając pot z czoła, rzekł do kaprala: Jeśli się zdarzy jeszcze podobna robota, a rąk będziesz Pan miał, jak teraz, za mało, daj tylko znać, proszę, naczelnemu wodzowi — a jam gotów.

I oszczędzając biednego kaprala, Wąszyngton śpiesznie odjechał.

(134.

(Jeden ze spółczesnych paryzkich pisarzy *Bonjour* opowiada, ile go to nazwisko kosztuje codzień czasu i objaśnień z odźwiernymi.

— Pańskie nazwisko?

— *Bonjour!*

— Grzeczny odźwierny oddaje *dobry dzień* nawzajem, i powtarza zapytanie o nazwisko?

— Mówię ci: *Bonjour!*

— Jam też Panu oddał już *dobry dzień!*

odpowiada głośno odźwierny, posądzając go o głuchotę — ale pańskie nazwisko?

135.

— To jak Pan Basza mówi? ile dni potrzeba na tę, jak państwo nazywacie, kwarantannę?

— Ściśle potrzebaby cztérdzieści, ale pani nie zatrzymamy nad dni dwadzieścia — odpowiedział grzeczny Fusch.

— A mojéj służącéj?

— Też dni dwadzieścia.

— To dobrzeż, kiedy Panom tak koniecznie o to chodzi! proszę mi pozwolić odjechać zaraz do miasta, a moja służąca zostanie tu za mnie i za siebie na dni cztérdzieści. Będę mocno za tę grzeczność Panu Baszy *obligowaną.*

136.

— Wszak masz czas żydku?

— Dla czegobym ja nie miał mieć czasu?!

— To po cóż tak bieżysz? Idź powoli!

— Nu!!?

137.

Sławny Thénard wykładając raz lekciją chemii zmarłemu księciu Orleańskiemu, wyraził się w ten sposob:

—„A teraz gazy te będą miały zaszczyt połączyć się z sobą w oczach waszéj książęcéj mości.“

158.

Od roku, przez jednę z rogatek paryzkich przejeżdżała codzień prawie w omnibusie młoda jakaś pani z ładném dziecięciem, śpiącém zwykle albo u piersi, albo na kolanach matki.

Jednego dnia strażnicy miejscy zatrzymali omnibus u rogatki, a jeden z nich stanąwszy na stopniu karety i otworzywszy drzwiczki, rzekł do matki: — „Jak też źle Pani robisz, że swojego syna spowijasz do roku!“

Potém z szaloną jakąś determinacíją pochwycił dziécię za nóżkę i wyciągnął z karety.

Biedna matka struchlała na ten widok: Tymczasem dziki człowiek, trzymając dziécię w powietrzu gwarzył z uśmiechem do swoich towarzyszów:

— Dziécię pianiuteńkie! Jakie też to matki z tych naszych Paryżanek, żeby tak rozpajać niemowlęta! Patrzcie tylko w co zamieniło się to biédne stworzenie!

W rzeczy saméj, dzieciątko miało twarz

zupełnie woskową, a całe ciadko blaszane i nalane czystym spirytusem.

139.

— Pan tak wymównie przemawiasz codzień do ludu — rzekła raz księżna G. do jednego z członków Izby niższéj — zawołaj, proszę, mojego lokaja.

140.

— Racz Pan zaczekać chwilkę. Płacisz mi Pan rubla: a za tę napoczętą butelkę wina należy mi tylko pół-rubla.

— Wiem o tém.

— Natychmiast przyniosę resztę.

— Niema potrzeby. Pół-rubla zostawiam temu, kto to wino wypije.

141.

Między cudami jeografii, opowiadał guwerner swojemu pupillowi o osobliwości Karlsbadu: że nie ma tam ani jednego wróbla.

Wiadomość ta tknęła szczególniéj młodego marszałkowicza i wryła się mu w pamięci.

W rok cóś potém obu jeografom wypadło być w Karlsbadzie. Jak na toż, osobliwy fenomen, który marszałkowicz wyjeżdżając jeszcze z domu gotował się sprawdzić i podziwiać na miejscu, okazał się jeszcze osobliwszym: bo na samym wjeździe do Karlsbadu zdarzył się wróbel.

— Panie Guwernerze! Panie Guwernerze! — zawołał Henryś — a toż wróbel! jak mamę kocham! —

— Gdzie? co? proszę do takich drobnostek nie mięszać imienia mamy! — mówił pedagog, niby nie widząc, albo też może chcąc wygrać na czasie, by pojazd rozminął się z anachronizmem, i można było Henrysiowi zadać przywidzenie.

Ale bystre oczki marszałkowicza deleko sięgały i uprzedzały poważny niemiecki dyliżans.

— O, tam, na téj piątéj jarzębinie co po prawéj stronie! Przeskoczył on teraz z jednéj gałązki na drugą, na sam niemal wierzchołek drzewa: a teraz, patrz Pan ot tylko co dwa razy dzióbnął dzióbkiem — i czy pan słyszysz? on ćwierka! Jak mamę kocham, prawdziwy wróbel! rychtyg taki sam jak w Antolinie!

— A widzę go wróbel! prawda! — odpowiedział nakoniec guwerner — ale wiesz że jaki to wróbel?

— A cóż to za wielka rzecz żebym nie wiedział! At niemiecki wróbel! tfu! i po wszystkiém!

— Proszę pamiętać żeśmy za granicą, i nie mówić nigdy o niczém z lekceważeniem, bo możesz tego żałować. A jeżeli ja ci powiem, że to jest biedny, chory wróbel, który przyleciał tu pić ze *Sprudla!*

142.

Sławna śpiewaczka Heinefetter, śpiewała nieraz na wieczorach w domu Rotszylda, zawsze śród obfitych uwielbień i grzeczności, lecz zawsze gratis.

— Rotszyld przecięż nie raz lubił dać się z tém słyszeć: że opiekuje się talentem, i upowszechnia wziętość znamienitéj śpiewaczki. To ośmieliło P. Heinefetter zanieść doń raz skromną prośbę o pożyczenie pięciuset franków.

Rotszyld jak najgrzeczniéj odmówił.

Sławna artystka napisała do niego zatém, łamanym niemiecko-palestyńskim językiem list następny, którego nie omieszkały wnet powtórzyć paryzkie dzienniki:

„Jaśnie Panie!

„Za radą moich nauczycieli, zmuszoną jestem prosić go o oszczędzenie mi nadal swych rozmów, bo Pan mówisz ze mną zawsze po niemiecku: a to mi psuje akcent i przeszkadza do wprawy w języku francuzkim.“

143.

Raz w noc ciemną, jeden z paryzkich dziennikarzy powracał do domu. W tém zatrzymuje go któś z oklepaną propozycją: „worek albo życie!“

— Cicho! nie wrzeszcz kumie! — odpowiada śmiejąc się dziennikarz — wyrwałeś mi z ust ten sam komplement. Ale chodź, zobaczymy który też z nas lepiéj się zna na ślosarce? mamy przed sobą gratkę, co się nazywa!

I prowadząc kuma z jednéj ulicy na drugą, śród żartów i anegdot, naprowadził go wreście na nocną wartę, i zdał w pewne ręce.

144.

Podczas błyskawicznego pochodu Napoleona z wyspy Elby, świetny orszak księcia d'Artois (potém Karola X) po wielu najuroczystszych, z ręką na sercu i szpadzie obiet-

niesach, że ma schwytać i dostawić księciu gotowiuteńkiego buntownika, rozszedł się jednego pięknego wieczora, tak cicho, że gdyby nie Lioński adwokat Verdun, który z największém narażeniem się ułatwił księciu ucieczkę, wziętoby go niechybnie jeńcem.

Natomiast schwytano wkrótce Pana Verduna i stawiono przed Napoleonem.

— Byłeś przewodnikiem księcia? — rzekł mu Cesarz, mierząc go tym piorunującym wzrokiem, przed którym drżeli najśmielsi.

— Tak, najjaśniéjszy Panie! — odpowiedział spokojnie adwokat.

— Zasłużyłeś na order legji!

145.

Jenerał Lasale, poległy w kampanji 1809 r. pełen odwagi, męztwa, urody i nadzwyczajnéj siły, nazywanym był Achillesem armji francuzkiéj.

W niedawno ogłoszonych pamiętnikach Jenerała Clary, opowiada on następujący przykład odwagi i zimnéj krwi Lasala.

Raz, na wsi uskarżał się ktoś na swojego świeżo nabytego konia, nazywając go niepodobnym do ujeżdżenia.

Lasale biorąc to sobie niemal za przy-

mówkę, oświadczył, że nie zna konia nie do ujeżdżenia, i prosił aby mu go zaprzężono do kabrijoletu.

— Właśnie tylko co połamał mi on go w druzgi — odpowiedział właściciel.

Lasale obrócił się do gospodarza z prośbą o kabrijolet, i im usilniej mu odradzano, tém uporniéj postanowił ująć się o honor kawalerzysty.

— Siadasz ze mną poruczniku Clary? — zapytał.

— Najchętniéj — odpowiedział Clary.

Podano konia, podróżni zapalili cygara — i już znikli z dziédzińca.

Ale na szosse, gdy łoskot kół stał się głośniejszym, przestraszony koń po kilku usiłowaniach wybicia się z zaprzęży, poleciał jak strzała. Lasale pomimo niesłychanéj swéj siły, nie mógł go wstrzymać w żaden sposob. Skracał lejce, okręcał je na ręku, dawał jednę z cugli do trzymania porucznikowi a drugą natężał oburęcznie — wszystko było daremne. Więc wziąwszy na powrót leje dany porucznikowi, rzucił oba na grzbiet koniowi, i powiedziawszy spokojnie: „lećże do licha!“ złożył na krzyż ręce, i rozparł się w kabrijolecie.

Clary opowiada o sobie dobrodusznie: że nie dostrzegł jak mu zgasło cygaro.

Jenerał wszakże tego dostrzegł: spytał go więc uprzejmie: czyby nie chciał zapalić cygara?

Ale w téj chwili, koń zdany na wolą, rzucił się w bok szosse, i wpadłszy do rowu uderzył się tak, że nie mógł powstać.

— Ocusiłem się gdzieś głęboko w przepaści — przydaje Clary — nademną stał Jenerał i powtarzał pytanie: czybym nie chciał zapalić cygara?

146.

Bajron mówił o walcu, że „jest to jedyny taniec, w którym młode panienki uczą się myślić."

147.

Göthe i Taleyrand oba pod starość bardzo się lękali śmierci. W domu znakomitego dyplomatyka było nawet prawo, zredagowane ze zwykłą gospodarza treściwością: *aby nikt nie umierał.* Z tego powodu murgrabia Talejranda uskarżał się nader pociesznie: że już od lat dziesięciu *musi* pobierać gażę za je-

dnego służącego, o którego zgonie nie śmie donieść księciu.

148.

Najszlachetniéjszym może z umierających był *Wycherly* a najpoetyczniéjszym *Keats.* Pierwszy z nich wziąwszy za rękę swą młodą żonę, prosił: aby nie wychodziła po raz drugi za mąż za starca. — Ostatni na zapytanie przyjaciela: czy mu nie lepiej? — „Lepiéj mi mój drogi! — odpowiedział — czuję już, jak na mogile mojéj wyrastają kwiaty!“

149.

Najniewinniéjsze zapewne i najogólniéjsze prawidło podawał Goldsmith miłośnikom i znawcóm malarstwa, dla ocalenia nieomylności wyroków. O każdym obrazie radził on mówić: „byłby jeszcze lepszy, gdyby więcéj był opracowany.“

150.

— Jakże to dobrze! słyszałem, że pani się pojednałaś z naszą śliczną przesową?

— O zupełnie, zupełnie! — Ale mój Boże! od czasu jakem jéj nie widziała, jakże ona biédna postarzała i poszpetniała!

(151.

Jaka też jest przecię różnica między dziennikarzem i osłem? niech mi wolno będzie zapytać — rzekł raz w towarzystwie jakiś lew paryzki do Pana * spółpracownika jednego z dzienników, który powstawał często na lwów paryzkich, nazywając ich najpotworniéjszemi i najnieużyteczniéjszémi ze wszystkich źwierząt.

— Nie wiem — odpowiedział spytany.

— Więc ja Panu ją objaśnię: — odrzekł nastrzępiając grzywę źwierz królewski — ta tylko jedna: że osioł nie może być dziennikarzem, a dziennikarz wybornie może być osłem!

Wszyscy krewni i powinowaci lwa przyjęli głośnym śmiechem to objaśnienie.

Gdy się uciszło, Pan * rzekł spokojnie: — A między lwem paryżkim i osłem, jaka też, proszę pana, różnica?

— Nie wiem — odpo[illegible]ział lew ze szlachetną dumą.

— I nikt z nas o [illegible] nie wie — dodało kilka głosów sprzymierzonych.

— W istocie — rzekł Pan * — i ja sam żadnéj nie widzę różnicy.

152.

Wymówny jakiś półkownik rozwodził się szeroko nad trudnościami swojego stopnia i miejsca, tém bardziéj, że jak mówił, nie może i nie zwykł polegać na nikim: musi więc sam być i półkownikiem i buchhalterem, i kapitanem i zawiadowcą kancelarji, i kwatermistrzem i audytorem...

—Nawet trębaczem — dodał ktoś półgłosem.

153.

Nieźmiernie lubiony od dzieci za potulność i słodycz charakteru Pan B. był prawdziwym ich męczennikiem.

—Musiał on należéć do wszystkich ich przedsięwzięć i zabaw, rozstrzygać spory, układać powiastki, objaśniać im mowę ptaków i źwierząt, opowiadać co się dzieje na słońcu, obłokach i w głębi ziemi? słowem nie miał ani chwili pokoju, i ratował się od nich zawsze jakimś nowym wybiegiem.

Raz, przechadzał się on ze swoim nieodstępnym orszakiem mimo wiejskiego kościoła, gdy w tém oznajmiono mu, że jego obecność pilnie potrzebną jest w domu. Pan B.

wiedząc; że drogą przekonania i łaski nie będzie mógł otrzymać urlopu od swych towarzyszów, odpowiedział posłańcowi głośno: że przyjść nie może — dzieci powtórzyły, że *nie może!* — i z tém go odprawił. Ale po chwili, podprowadziwszy swoję akademiją pod sam kościoł, oparł się nagle o ścianę świątyni, rozpostarł ręce i wołając z przestrachem: że kościoł się wali, zalecał dzieciom, aby co najprędzéj biegły do domu — on zaś tymczasem postara się utrzymać obalającą się budowę.

Mali egoiści, w okamgnieniu kopnęli bez oględu, zostawiwszy swojego przyjaciela w tém niebezpiecznem i pełném poświęcenia się położeniu.

154.

Wdzięczność. Miłość. Przyjaźń.

Wdzięczność podobną jest do monety z miękkiego srébra. Nosząc ją długo przy sobie, rok odbicia z czasem się zetrze zupełnie.

Wykop dół *miłości* i przychodź codzień deptać ziemię, a zajrzysz jednego poranku, że rozkwitła ona różą na swéj mogile — rzuć w popioł, wybuchnię ci jasnym ogniem —

utop w morzu, wypłynie na wierzch czystym bursztynem — rób z nią co ci się podoba: strzeż się tylko nie rzucać jéj na papier — bo cię nazwą szalonym.

Kto ma *przyjaciela*, naraża się na podwójne ciosy: można mu przełamać cztéry ręce, i wydrzeć z piersi dwa serca.

Kto ma dwuch przyjaciół, ma ich dla tego tylko, aby z kolei mógł przed jednym skarżyć się na drugiego.

Przekonywamy się przy końcu życia: żeśmy od nikogo nie ucierpieli tyle, ile od naszego najlepszego przyjaciela.

155.

Pamiętna jest przyjaźń Napoleona z *Lemercier'em*. Będąc już pierwszym konsulem, Napoleon nieraz wstawał o północy, skradał się na palcach, gasił świéce pracującemu Lemercier, i z głośnym śmiechem uciekał uszczęśliwiony. Zostawszy Cesarzem i omyliwszy republikanckie nadzieje Lemercier'a, Napoleon utracił go, jak Cezar Brutusa. Odtąd poeta wydał mu otwartą wojnę, napadając nań piorunującemi trajedijami: Napastowany Cesarz miał się tylko odpornie:

nie dozwolał on *tylko* ani drukować, ani grać na teatrach sztuk Lemercier'a.

„W téj kampanji — powiada Wiktor Hugo—zabito pod Lemercier'em pięć trajedji.“

Gdy Cesarza wychodzącego na wyprawę 1812 roku żegnała akademija, zapytywał on z uśmiechem a Lemercier: — jak prędko obdarzy Franciją nową trajedniją?

— „Czekam“—odpowiedział poeta — jakby duchem wieszczym. Ale w nieszczęściu Napoleona, Lemercier nawrócił się znowu do niego całém sercem.

Nie przestał nigdy kochać go, uwielbiać i opłakiwać.

Ostatnie łzy po swoim wielkim przyjacielu wylał poeta w chwili wyjazdu księcia Joinville po zwłoki Napoleona.

— Czemuż nie mogę należéć do téj podróży! — powtarzał złożony już niemocą śmiertelną.

156.

Cesarz Józef II, będąc w Bononji, rozmawiał długo o muzyce z najsławniejszym ówczesnym kontrapunktystą księdzem Martini.

— Nie już też — rzekł Cesarz — nigdy do tego nie przyjdzie, aby o muzyce sądzono i

pisano tak zrozumiale, dostępnie, i na zgodnych zasadach — jak o przędmiotach literackich?

— Nie ma nadziei, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział Martini.

— Dla czegożby?

— Dwie przyczyny są temu na przeszkodzie. Jedna zawiera się w saméj sztuce: a druga nie do usunienia w piszących.

Cesarz lękając się aby uczony *Padre* nie zapuścił się i nie powiódł go za sobą w labirynt teorji, prosił o objaśnienie przyczyny ostatniéj.

— Przyczyna ta jest, Najjaśniejszy Panie — rzekł Martini — że na nieszczęście, piszący o muzyce nie znają muzyki — a muzycy nie umieją pisać.

157.

Na operze dawanéj *gratis* dla ludu podczas uroczystości lipcowych w Paryżu, gdy pierwszy raz chór się odezwał, rzekła jedna przekupka: — „Patrzcie tylko na tę niegodziwą sznuję! Że to jest dla nas, dla ludu, to i śpiewają oni wszyscy razem, aby skończyć jak najprędzéj.“

158.

Pani Sevigné mawiała o skazówkach sekundowych, że ich nie lubi, bo zbyt drobno siekają życie.

159.

Kalpurnija była przyczyną, że kobiéty straciły prawo bronienia spraw w sądownictwach. Przegrawszy jednę sprawę, okazała ona prześwietnemu sądowi najjawniejszą zniewagę.

160.

Ktoś rzekł jadowicie, że lekarzom płaci się za to, aby prawili choremu fatałaszki, dopóki go nie uzdrowi przyrodzenie, albo lekarstwa nie zabiją.

161.

Pani du Deffant słuchając raz jakiegoś nieznośnie rozlazłego opowiadania, rzekła do swojéj sąsiadki: „Zobaczysz że się tu nie obejdzie bez samobójstwa. Ten Pan przyszedł widocznie z zamiarem zanudzenia się na śmierć swoją wymową. Byłoby to może i z nami: ale na szczęście nikt go niesłucha.“

162.

Znany Gastronom Montmaur przy jednym wesołym obiedzie odezwał się z miną najżałośniejszą: — Ależ zmiłujcie się Panowie! Uciszcie się choć na chwilę! nie wiadomo co się je!

163.

Biskup Beaumanoir de Lavardin nie nawykły do mówienia z pamięci, zapomniał raz wziąć z sobą przygotowanéj mowy, i postrzegł się w tém już na kazalnicy. Nie powiedziawszy więc ani słowa, skończył na błogosławieństwie.

W tym właśnie czasie zrobionym był portret Biskupa.

— Ależ mój Boże! jak podobny! — zawołał widząc ten portret Pani de Sablé — zdałoby się że mówi kazanie!

164.

Hrabia de Mailly de Beaupré nosił swój wojskowy kapelusz w ten sposob, że kokarda przypadała z tyłu głowy. — Oto kokarda — mawiał jeden z jego oficerów — co nieraz widziała nieprzyjaciela!

165.

Bajron mówił o Genewie: „jest to jaskinia uczciwych ludzi.“

Choiseul przydawał: „Jeżeli ujrzysz Genewczyka wyskakującego przez okno, choćby z drugiego piętra, rzuć się za nim śmiało: w skoku tym musi być do zarobienia przynajmniéj pięć procentów!“

166.

Zadyszany stryjaszek gonił raz z kijem swojego synowca aż na schody. — Mości Panie! — rzekł młodzieniec zatrzymując się w bezpiecznéj odległości — proszę się dalej nie zapędzać! minąłem już więcéj niż cztéry stopnie, i wszelkie pomiędzy nami pokrewieństwo ustaje.

167.

Jeden z emigrantów, zajmujący wysoką posadę, wyszydzał raz przed Tallejrandem czasy cesarstwa. „To prawda, — rzekł Talleyrand — że szło wtedy wszystko nader opieszale: robiły się tylko rzeczy dziwne — a teraz mamy cuda!

168.

Jedna z myśli nader szacownego skądinąd moralisty francuzkiego Thomas'a wy-

rażoną jest w ten prawie sposob: „Jeżeli chcesz uczynić dobrze, staraj się nadać swojéj dobrej czynności zły pozor: gdyż inaczéj ludzie jej nie uwierzą.“

169.

Pan * po odbyciu przedślubnéj spowiedzi, zwierzył się za powrótem do domu swojemu przyjacielowi że ma niejaką wątpliwość względem swéj spowiedzi: bo mu ksiądz tak dobrze jak żadnéj nie naznaczył pokuty.

— Ale mówiłeś mu że się żenisz?

— Wiedział o tém.

— No, to widać dla tego i nie naznaczył ci innéj pokuty!

170.

Ludwik XIV, obiadując raz z kardynałem d'Estrées uskarżał się że nie ma zębów.

— Zębów! Najjaśniejszy Panie! — zawołał kardynał — a któż je ma?

171.

Znaną jest odpowiedź Mirabeau na uczyniony mu zarzut, że jest opłacanym od dworu. — „Jestem płatnym, ale nie zaprzedanym!“

Rivarol odpowiadając na podobny zarzut, skorzystał z téj odpowiedzi nader pociesznie:— „Jestem zaprzedanym — rzekł on z powagą — to prawda: ale nie płatnym!“

172.

Gourville spotkawszy za miastem znanego sobie lekarza idącego ze strzelbą na ramieniu spytał go: gdzie też to tak zbrojnie?

— Idę do chorego — odpowiedział lekarz.

— Zdałoby się że lękasz się doń chybić! — rzekł Gvourille.

173.

W bitwie pod Hastembech grenadijerowi francuzkiemu kula urwała obie ręce.

Przejeżdzający w téj chwili pułkownik rzucił mu talara.

— Panu musiano widać donieść — rzekł grenadijer — żem ja stracił parę rękawiczek!

174.

Po pokoju zawartym z Angliją w roku 1783, Minister Maurepas zażądał od Akademii napisów, słów do mającego się odbić z tego powodu medalu. Po sześciu miesiącach oczekiwania, deputacija od Akademii

przyniosła nakoniec ministrowi napis następny: „*pax cum Anglis.*“

— „*Et cum spiritu tuo*“ — odpowiedział minister.

175.

— Jakże po angielsku *chléb*, mój panie Angielczyku! — spytał raz pan swego syna.

— Pisze się *bread* a czyta się *bred.*

— A je się jak chléb! To najlepiéjbyście asanstwo ze swoim panem guwernerem zrobili, gdybyście i pisali i wymawiali *chléb!* Bo w darze bożym wybredzać nie ma czego!

176.

Chamfort któremu minister napomknął raz cóś o swojéj władzy, odpowiedział: „pamiętam o tém: ale pamiętam także, że łatwiéj jest być nademną, niż obok.“

177.

Raz w poufałem towarzystwie młoda jakaś wesoła osoba chciała zdjąć perukę jednemu znakomitemu urzędnikowi.

— O nie rób tego Pani — rzekł Pan B. — odejmiesz Panu prezesowi całą reputaciją.

178.

Bourvalais i Thevenin, którzy wzbogacili się niesłychanie za rządów Ludwika XVI,

próżnili się raz z sobą na giełdzie paryzkiéj.— „Nie zapomnij rzekł Thévenin do Bourvalais— żeś był moim lokajem!“

— „Wyznaję to — odpowiedział Bourvalais: — lecz jeślibyś ty był moim, byłbyś nim dotąd.“

179.

Pytano raz Rivarol'a, dla czego nigdzie nie bywa?

— Dla tego — odpowiedział — że kobiétóm podobać się już nie mogę, a męższczyzn znam dosyć?

180.

Duclos ilekroć był na kogo złéj woli, mawiał zwykle: „to jest przedostatni z ludzi!“

— Dla czegoż *przedostatni?* pytano.

— „Aby nikogo nie odstręczać: bo tłum kandydatów.“

181.

Ludwik XV, nie cierpiał czytania. Jeden z panow dworu śpiesząc i pod tym względem zalecić się królowi, wręczał: że przez całe życie ani razu nie zajrzał do książki.

— Czyż to być może? spytał król obecnego Hrabi de Thiars.

— Trudno troche temu wierzyć — Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Hrabia — ale rzecz bardzo do prawdy podobna!

182.

Dwoje dziatek przypatrywało się rycinie wyobrażającéj Adama i Ewę w stanie niewinności.

— No, zgadnij Tosiu! który tu Adam? a która Ewa?

— Jaki ty jesteś śmieszny! — odpowiedziała dziewczynka — jakże można zgadnąć, kiedy oni nie ubrani!

183.

Ludwik XIV, rozmawiał raz z Hrabią de Guiche o władzy królewskiéj i jéj świętości.

— Jeślibym ci powiedział — rzekł król — idź rznć się w morze, nie powinienbyś się wahać ani chwili!

Hrabia zamiast odpowiedzi odwrócił się nagle i szedł ku drzwiom.

— Gdzież to Mości Hrabio! — spytał król zdziwiony.

— Uczyć się pływać — odpowiedział de Guiche.

184.

Antoniusz będąc w Egipcie przepędzał co dzień po kilka godzin z wędką w ręku, i zawsze dość nieszczęśliwie.

Raz Kleopatra kazała jednemu z doskonałych podwodnych pływaczy, aby się skradł i przywiązał rybę.

Pławek zadrgał, Antoniusz podniósł wędkę, ucieszył się wielkością połowu — ale o cudo! ryba była już posoloną!

— Wam brać miasta i państwa — rzekła Kleopatra — zostawcie choć rybołostwo Egipcijanom!

185.

— Ożenić, ożenić tego hultaja! — rzekł ktoś rozgniewany niezwinnością usługującego chłopca.

— Czemuż to?

— Bo widzicie sami, że on nie stworzony na chłopca.

186.

— Julijo! — zawoła ekzaltowany kochanek — za pierwszym razem, gdy mi to jeszcze powtórzysz, zabiję się u nóg twoich!

— A za drugim razem? — spytała czuła Julija.

187.

— Pozwoli pani do walca? — rzekł z ukłonem wytwornie ubrany młodzieniec, podchodząc do jednéj znakomitéj damy, na balu miejskim.

— Przepraszam, że muszę mu odmówić. Zrobiłeś mi pan bardzo niewygodne trzewiki.

188.

Czternastoletnia pełna dowcipu i wesołości panienka nagle zesmutniała i zaczęła się zamyślać.

—Co ci jest? pytała z niespokojnością ciotka.

— Musi mi, ciociu, przychodzić rozum.

189.

W jedném towarzystwie żałowano powszechnie kochanej Pani * że jest bezdzietną.

— To musi być cóś familijnego — odezwał się znany z roztargnienia Pan B. — Założyłbym się, że i jéj matka musiała być bezdzietną.

190.

Sedaine rzekł do Grétry po przedstawieniu jednéj z jego oper: — „zły czas wybra-

liśmy przyjacielu! jeszcze gruszka nie dojrzała!“

— A przecież widziałeś, że upadła! — odpowiedział kwaśno Grétry.

191.

Benserade zająwszy raz w akademji krzesło Furetière, z którym był w wiecznéj wojnie, rzekł siadając: — „z tego miejsca mimowolnie będę musiał prawić głupstwa!“

— Śmiało! — odezwał się Furetière — zacząłeś wybornie!“

192.

Carnot rzekł raz o Tallejrandzie: „dla tego on tak pogardza ludźmi, że dobrze zgłębił siebie.“

193.

Skaliger mawiał o Baskach: — wielu ręcza, że się oni rozumieją: ale ja to mam za rzecz bajeczną.“

194.

Na posiedzeniu akademii francuzkiéj, gdy szło o wybor Pirona, zjawił się niespodzianie i Fontenelle, blisko dziewięćdziesięciolet-

ni i prawie zupełnie już głuchy: Poznawszy z jestów akademików, że się żywo o cóś spierano, prosił on swojego sąsiada P. Lachaussée aby mu wytłumaczył: o co też chodziło? — „Idzie o wybor Pirona — odpowiedział Lachaussée — wiemy wszyscy, że on zasługuje na krzesło: ależ napisał on tę odę, którą Pan znasz zapewne i pamiętasz.“....

— O pamiętam, pamiętam! — odrzekł genijalny starzec — trzeba mu dobrze natrzeć uszy, jeśli to on ją napisał: ale jeśli nie on — to nie wybierać!

195.

Marszałek de Bassompierre, chcąc uchodzić przed sobą za nader rządnego człowieka, obliczał codzień wieczorem swoje wydatki. Raz, będąc już w łóżku, zadzwonił na marszałka dworu, i zwracając mu rachunek podany na sto talarów, oświadczył że go nie podpisze, ponieważ dziesięciu talarów nie dostaje w rachunku.

Marszałek, który wiedział że idzie tylko o formalność, przyjął z uszanowaniem papier, dopisał natychmiast:

„*Item* dziesięć talarów dla liczby *sto*“ i rachunek przeszedł.

196.

Pani Lucchesini, żona posła pruskiego, którą pomimo form atletycznych wielu miało za piękną, odwiedzała Tallejranda. Po wyjściu jéj, spytany jak mu się wydała posłowa? odpowiedział: — „nie można jéj ująć! ale dla człowieka, który widział gwardiją pierwszego konsula!!"...

197.

Jedna z nowo mianowanych pań dworu, mając na ten urząd wykonać przysięgę przed Tallejrandem, przybyła doń ubrana najwytworniéj, ale w krótkiéj, jakby balowej sukni.

— Czy tylko nie za lekko przystępujesz Pani do przysięgi na wierność? — spytał Tallejrand z powagą.

198.

Z powodu wiecznéj ministerijalności Tallejranda, mówiła o nim Pani Staël — „Ten nieoszacowany Maurycy podobnym jest do łąteczek dziecinnych z główką korkową i z ołowiem a spodu: jakkolwiek je rzucić, zawsze sobie stają na nogach!"

199.

Mówią że jeden szczęśliwy obywatel przeszedłszy całą szkołę próżniactwa, doszedł do tego stopnia rozmawania, iż zapytywał u swojego sługi:

— Łukaszu! czy ja już śpię?

— A Jasny Pani już śpi.

— No, to dobrze!

200.

Rabusson szwagier Horacego Verneta, był podporucznikiem w jednym z polowych pułków. Raz podczas przeglądu, wiatr zniosł cesarzowi kapelusz i Rabusson pośpieszył go podjąć. — „Dziękuję kapitanie!“ rzekł Napoleon nie zwracając uwagi na stopień oficera który mu oddał tę usługę.

— W którym pułku? Najjaśniejszy Panie.

— A to prawda! — rzekł śmiejąc się cesarz — w mojéj gwardji!

201.

— Naucz mię Acan jakże to się pali w téj wasze sztucznéj piecy? — rzekła jedna dumna Hrabina do Pana W. domowego nauczyciela.

— Tyle tylko mogę Panią nauczyć — odpowiedział zapytany — że piec jest rodzaju męzkiego.

202.

Jeden z listów pisanych skądinąd bez najmniejszéj humorystycznéj pretensji, kończy się przecież nader pociesznie:

„Pisał-bym ci dłużéj, ale tak mi zimno w nogi, że nie mogę utrzymać pióra.“

203.

Jeden z uczniów prosił Arystotelesa o wyrozumowanie: dla czego się podoba piękność?

— Ależ to jest pytanie ślepego! — odpowiedział filozof.

204.

— Muszę Panu wymówić: — rzekł jakiś chudy literat do Pana S. — W jednym łaskawym na mnie domu przyznawano mi trochę wiadomości i rozumu: Pan i temu zaprzeczyłeś!

— Jawna i najwierutniejsza napaść! — odpowiedział S. — Nie byłem nigdy w żadnym

takim domu, gdzieby Panu przyznawano rozum.

205.

Grano Don Żuana. Młody trzpiot jakiś nucił sobie tak głośno jeden śpiew z téj opery, że siedzący obok dylettant nie mogąc się powstrzymać rzekł z gniewem: *che bestia!* (co za bydlę!)

— Pan to mówisz o mnie? — odezwał się śpiewak powstając.

— *No, Signor* — odpowiedział *dilettante,* — mówię to o *Rubinim*, który mi przeszkadza słuchać pańskiego śpiewu.

206.

Jeden z przyjacioł La Motha, w jego obecności obił kijem Pana *. Skrzywdzony udał się do sądu i wezwał Pana La Mothe na świadectwo.

— Nie widziałem — rzekł La Mothe.

— I możesz tak Pan powiedzieć sumiennie?

— Najsumienniéj powiedzieć mogę że nie widziałem. Słyszeć, cóś tam słyszałem: alem nie widział, i świadkiem być nie mogę.

207.

Jezuita Gaillard miał jechać w jedunym pojeździe z Arcybiskupem Le Tellier.

— Siadaj Ojcze! — rzekł mu Arcybiskup. Gaillard wzbraniał się do ostatniego, oświadczając: że pójdzie raczéj pieszo„ niżby miał usiąść wprzódy od Arcybiskupa.

— Ależ siadaj mój ojcze! Oczewiście godzisz na to, abym ci pierwszy ucisnął poduszkę, i całe pierze zostało po twojéj stronie!

208.

— Cztérnastoletni Crequi strzelał do celu z następcą tronu.

Delfin strzelił pierwszy, i kula utkwiła o łokieć od celu. Crequi, który strzelał bardzo dobrze, zmierzył się przecież tak, że chybił na sześć łokci.

— Ach! mały wężu! — zawołał Pan Montausier — trzebaby cię zaraz udusić!

209.

Jeden z zakonników włoskich dotąd jeszcze mówiąc z użaleniem o systemacie Kopernika, przydał: „dla każdego dobrego chrześcijanina dość jest tego jednego dowodu: że Jozue zatrzymał słońce!“

— Otoż widzisz sam mój ojcze! — ktoś odpowiedział, — i od téj chwili, słońce się zatrzymało!

210.

Przy końcu 1815 roku, kandydat jeden do urzędu prosił pośrednictwa Talleyranda, przydając: że *był w Gand*. (Dokąd, jak wiadomo, za studniowych rządów Napoleona, schronili się stronnicy królewscy).

— Proszę mię nie utrzymywać w błędzie — rzekł Talleyrand — i powiedzieć: czyś Pan był w Gand? czy przybywasz z Gand?

— Jak to, Mości Książe?

— Bo w Gand nie było nas więcéj nad ośmiuset: a przyjechało nas ztamtąd już blisko pięćdziesięciu tysięcy!

211.

Mallet pytany przez ministra wojny o spólników? odpowiedział: — „Pan pierwszy, jeśliby mi się udało.“

212.

„Pogarda — mawiał Molier — jest to pigułka, którą półknąć można: ale pożuć nie krzywiąc się żadną miarą niepodobna.“

213.

Cambaceres mając u siebie na wieczorze wielu artystów, pod koniec już zaprosił Garat'a do śpiewania. Urażony śpiewak że go tak długo pomijano, odpowiedział patrząc na zegarek: — „niepodobna konsulu — obywatelu! Już jest „północ, i głos mój spać się położył.“

214.

Niepojęte skępstwo Paganiniego najwydatniéj wyjawiało się w podróży. Milionowy ten człowiek stérczał jak przyszpilony na ławeczce imperijału: a gdy dyliżans się zatrzymywał i mówiono mu o obiedzie, odpowiadał że nie czuje głodu na trzy franki, i nie schodząc ze swojéj wysokości jadł suchy chléb z sérem.

215.

Thomas mawiał o sielankach Flo[illegible]ijana: „puściwszy na nie z dziesiątek wilków, to, możeby były i niezłe!“

216.

Johnson zaprzeczał Szkotom Lorda Mansfield, dla tego że się wychowywał w Anglji

„Bo wiele można zrobić i ze Szkoła — mówił poważnie—złapawszy go żywcem za młodu!“

217.

Dufresny czytał raz przed Lamothem i Saurin jednę ze sztuk swoich. Oba wychwalali ją pod niebiosa: sztuka przecięż upadła.

Dufresny w gniewie wynurzał się przed Hrabią d'A., że nie ma nic niedorzeczniejszego, jak polegać na uczonym sądzie i smaku tak nazwanych pięknych dowcipów, przytaczał kucharkę Moliera, i powtarzał po kilka razy, że woli uczucie i ucho człowieka najprostszego, choćby ostatniego głupca, niż te zwichnięte prawidłami zawołane rozumy.

Hrabia zgadzał się na wszystko.

Ujęty tą powolnością Autor, sięgając do kieszeni spytał dobrodusznie:—czy nie chcesz Hrabio, abym ci przeczytał jednę z nowych sztuk moich?

—Niewypowiedzianie dziękuję! odpowiedział Hrabia z uśmiechem.

218.

Racan chciał się raz widzieć z jednym z Kartuzów: ale nie dano mu ani ust otworzyć, pókiby nie zmówił wprzódy *pater no-*

ster. Po odmówieniu modlitwy, nadszedł żądany zakonnik: będąc wszakże zajętym dnia tego służbą klasztorną, ledwie miał czas pozdrowić swojego gościa, został wnet odwołanym.

— Ojcze!—rzekł za odchodzącym Racan—każ mi przynajmniéj oddać mój *pater noster!*

219.

Stary jeden Feldmarszałek austrijackiéj służby, będąc przedstawianym Marii Antoanecie, opowiadał długo o dwuch swoich zasłużonych wierzchówcach, na których odbył kilka kampanji. Za drugą bytnością Feldmarszałka, Królowa dla zawiązania rozmowy, spytała go: któremu przecięż z dwuch swoich bohaterskich koni oddaje pierwszeństwo?

— Widzi Wasza Królewska Mość—rzekł stary Feldmarszałek—jeżeli w dzień batalji podprowadzą mi naprzykład migdałka, to przez dzień cały ani przesiądę na karosza: a jeśli mi podadzą karosza, to ani pomyślę o migdałku!

Po chwili milczenia, rozpoczęła się inna rozmowa i przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, zatrzymała się najdłużéj na pięk-

nych kobietach Paryża i dworu. Z liczby tych ostatnich dwie uchodziło za najpiękniejsze. Marija Antounetta obracając się do Pana de Vaudreuil, pytała go żartobliwie: na widok któréj z tych dwuch piękności więcéj mu się mąci serduszko?

— Widzi Wasza Królewska Mość — odpowiedział de Vaudreuil przybierając postawę i akcent Feldmarszalka — jeżeli w dzień batalji...

— Dosyć, dosyć! — zawołała Królowa.

220.

Tallejrand chciał się raz widzieć z Panem M * jednym z głównych dostarczycieli (liwerantów) żywności. Odpowiedziano mu: — że go nie ma w domu: bierze wody w Barrèges.

— A zawsze cóś bierze! — rzekł wzruszając ramionami Tallejrand.

221.

— Hrabia Molé rzekł raz do Napoleona: — Zabiłeś, najjaśniejszy Panie, na zawsze rewoluciją!

— O mylisz się — odpowiedział Cesarz —

zamykając książkę jam tylko w niéj położył zakładkę.

222.

Fryderyk Wielki w jednéj z jasnych chwil przed samym swym zgonem, rzekł do siedzącego przy nim synowca, ze zwykłym sardonicznym uśmiechem:

— Przepraszam cię, mój synowcze, że tak długo czekasz!

223.

Aktor Monfleury był nadzwyczajnie otyły, i jak się dziś mówi, chorował na Pana.

— Ma on prawo być tak dumnym — rzekł Cyrano de Bergerae — bo w jednym dniu nie podobna go obić całego!

224.

Po upadku Napoleona, gdy w każdym domu, gdzie tylko znajdował się ktoś z ramienia Burbonów, było codziennym obowiązkiem czernić i poniżać czasy cesarstwa, Pan L. słuchając raz podobnéj rozmowy, zaczął jéj niby wtórować i walił góry na Napoleona.

— A przecież, zda mi się, żeś Pan pobierał od niego pensiją? — rzekł ktoś z towarzystwa.

— Tak pobierałem. Potwór ten hańbił mię roczną pensiją 6,000 franków.

— To na cóż ją było pobierać?

— Na co pobierać? albo żeście nie znali tego ciemiężcy?

Na co pobierać? a kiedyż na początku każdego miesiąca wył on zawsze swoim podziemnym głosem: „*Mollien!*“ — *Co? najjaśniejszy Panie! — A czy L. odebrał pensiją? odebrał najjaśniejszy Panie! — To dobrze!*“ I tak bywało pyta i pamięta sam o wszystkiém. Niechbym śmiał spóźnić się choć jednę tylko godzinę z odebraniem pensii, to ten dziki Tamerlan kazałby mię rozstrzelać!“

Zapał z jakim L. piorunował na biednego Cesarza, był nie do przewyższenia: dano więc tego wieczora pokoj niedołężnym czasóm Cesarstwa.

225.

Jeden ze starożytnych książąt i parow de Clermont-Tonnerre, Szambelan księżny Borghese, po przyłączeniu Włoch do Cesar-

stwa mianowany został przez Napoleona Hrabią, i bardzo był rad ze swojego nowego zaszczytu.

— Winszuję Panu serdecznie — rzekł mu Tallejrand — bo potrzeba się spodziewać, że przy pierwszéj *promocji* zostaniesz Pan Baronem.

226.

Liniere nigdy prawie nie zadawał sobie pracy w doborze wyrażeń. Raz, młody trzpiot spodziewając się go zdziwić swoją zręcznością, zaczął rzucać do góry trześnie i w powietrzu łapał je w usta. Liniere nie dając mu czasu do rozwinienia wszystkich bogactw tego talentu, spytał go, bez ogródki: od jakiego też psa nauczył się tej sztuki?

227.

Platon mawiał: — „Wolę śmierć niż wygnanie lub więzienie: bo czy śmierć jest złém? nie wiem; a o wygnaniu i więzieniu wiem z pewnością.“

228.

Malherbe napisał o jedném mieście: „niesie podanie, że gdy zdrowy rozsądek tędy przechodził, nagle został tknięty paraliżem.“

229.

Marrolles przetłumaczył epigrammata Marcijalisa tak, że Menage na oprawie tego przekładu kazał dać napis: „Epigrammata na Marcijalisa.“

230.

Na człowieka głuchego, (który miał wielką wprawę w zgadywaniu wyrazów z układu ust i fizijonomii mówiącego i nigdy nie chciał się przyznać do zupełnej głuchoty) użył ktoś następującego wybiegu. Spotkawszy go na ulicy, dał mu z daleka znak ręką a potem wziąwszy się za twarz oburącz, otworzył usta tak, że się zdawało jak gdyby krzyczał z całéj mocy.

— Czego tak wrzeszczysz do licha! — zawołał podbiegając głuchy — nie tylko ja, ale słyszą cię na trzeciej ulicy!

231.

— Pan mi zrobiłeś minę?..!

— Gdzież tam! — Byłaby przecię lepszą!

232.

Młoda ładna wieśniaczka gnała swą krówkę.

— Skąd jesteś aniołku? — spytał ją jakiś zielony Jegomość ze strzelbą na ramieniu.

— Z Tolina, Panie.

— A więc znać musisz moję siostrę, co służy u waszéj Pani?

— Znam dobrze.

— O, zmiłujże się, ucałuj ją odemnie! — I przy tych słowach nieznajomy chciał uścisnąć wieśniaczkę.

Ale dziewczyna pierzchając mu z rąk, odpowiedziała z uśmiechem:

— Kiedy panu tak pilno, to proszę oddać to poruczenie mojéj krówce: ona prędzéj będzie we wsi odemnie!

233.

Gdy pierwsza wiadomość o klęskach 1812 r. doszła do Tuileries, rzekł Tallejrand: „Widzicie że przesadzano: mówiono że wszystkie bagaże stracone, a przecież Pan Maret jest, powrócił, i opowiada o całéj kampanji!“

234.

Doktor Bouvart zdziecinniał na starość, zawsze jednak z uczuciem swojego powołania. Oglądał on codzień poręcze swoich krze-

seł i kanap, liczył ich pulsa z zegarkiem w ręku, zapisywał recepta dla swojéj kliniki domowéj i pilnie prowadził dziennik każdéj choroby. Gdy się upewnił nakoniec, że w domu wszystko już jest dobrze, zawołał raz służącego i spytał: czy nie przysyłano po niego z miasta?

Służący odpowiedział: że nie przysyłano.

— A toż dla czego? — rzekł z gniewem.

— Boś już Pan wyleczył wszystkich chorych — odpowiedział dowcipny sługa.

— To niechby się radzili na przyszłość — rzekł z powagą starzec — bo nie zawszeż mnie mieć będą! Ale czy to tym płochym ludziom przyjdzie do głowy!

235.

Jeden kaznodzieja mówiąc o przesądach gusłach i zabobonach, między innémi powstawał na loteriją. — „Przyśni się — rzekł — w odurzonéj chęcią łatwego zbogacenia się głowie, liczba 32 albo 65: a więc i bieży się nazajutrz do Mont-de-Pieté, oddaje się sprzęt ostatni w zakład, i stawi się na los szczęścia pieniądz, za który tydzień a może i miesiąc miałyby dziatki chléb i naukę!“

Po nabożeństwie, gdy kaznodzieja wychodził z kościoła, zbliżyła się ku niemu jakaś kobiéta i rzekła całując w rękę: — „Niech mię Jegomość raczy oświecić, czym tak słyszała? Zdaje się Jegomość dobrodziéj wspominał w dzisiéjszém kazaniu te dwie liczby: 32 i 65?“

236.

Straszny jeden wojownik hiszpański mówił o sobie: „gdy jestem w całém uzbrojeniu, lękam się spójrzeć we źwierciadło.“

237.

Oficer gwardji narodowéj nacierał na bogatego skępca pytaniem: jaką może mieć przyjemność ze zbierania pieniędzy, kiedy ich nigdy nie używa?

— Tę samę — odpowiedział zapytany — co Pan ze swojéj szpady!

238.

— „Jest to bardzo szczęśliwie dla Pani D. * * — mówił Tallejrand — że nie ma zębów: bo gdyby je miała, mogłaby być tak brzydka jak Pani L.“

239.

Raz, mówiąc o Marecie (księciu Bassano) z którym był zawsze w otwartéj wojnie, przydał: że jednę zną tylko osobę głupszą od Mareta.

— O kim książe mówi?

— O księciu Bassano.

240.

O niezmienności rysów twarzy Tallejranda powiedział raz Murat: „Gdy Tallejrand mówi, można go śmiało uderzyć kolanem: nikt z ludzi, do których on jest obróconym twarzą, nie dostrzeże, iż się cóś stało.“

241.

Ludwik XVIII, rozgniewany na Tallejranda w r. 1823, za jego mowę w Izbie parów przeciw wojnie Hiszpańskiéj, zapytywał go z przyciskiem: czy nie życzy sobie wyjechać na wieś?

„— I nie, najjaśniéjszy Panie! odpowiedział dobroduszny człowiek chyba do Fontainebleau, za waszą królewską mością, z mojémi papierami.

— Nie o tém mówię — odparł król po-

chmurnie — pytam Pana czy nie życzyłbyś sobie wyjechać do swojego majątku?

— A ja tam po co? — odrzekł Tallejrand jeszcze dobroduszniéj — jest to podróż jak o téj porze roku, dla mnie za daleka.

— Cóż to za daleko! — rzekł król ironicznie, tonem doradzającym podróż — ile też mil mieć Pan będziesz z Paryża do Valençai?

— Tylko cztérnaście mil daléj — Najjaśniejszy Panie, niż z Paryża do Gand — odpowiedział Tallejrand z dokładnością książki pocztowej.

242.

Gdy Baronowi ** powiedziano o śmierci Tallejranda, zawołał z zadziwieniem: — „Jakiż on u licha miał w tém interes! ale musi to cóś być! na wszełki przypadek, zachorujmy sobie także!“

I Baron poszedł do łóżka.

243.

— Dzień dobry! mój przyjacielu! Jakże się ty masz?

Dziękuję, mój przyjacielu! Jakże się ty nazywasz? — odpowiedział Aleksander Dumas.

244.

Swift porównywał ludzi chlubiących się ze swych przodków, do kartofli, których najlepsza część w ziemi.

245.

Pastorowi S. gdy podczas kazania dostawał chustki, wypadła karta z kieszeni. Mały jakiś chłopczyk pośpieszył ją podjąć.

Jaka to jest karta? moje dziecię — zapytał S.

— Czerwienna kralka — odpowiedział chłopczyk.

— A ile jest cnot teologicznych?

Dziecię milczało.

— Otoż widzicie, rodzice! — mówił dalej Pastor — jak wychowujcie wasze dzieci!“

246.

Wiadomo, że Napoleon cenił dosyć wysoki przedmieście Saint-Germain. Po zwycięztwie pod Austerlic, spytał on Narbonna, jednego ze swoich adjutantow: — „Cóż Hrabio! czy matka twoja przecię zaczyna mię kochać?“

Tallejrand widząc że Narbonne waha się z odpowiedzią, pośpieszył mu na pomoc:

— Dopiéro jeszcze uwielbia, Najjaśniejszy Panie!

247.

— Nie dotykaj moje dziecię papugi: ona cię ukąsi.

— I, nie ukąsi może!

— Ukąsi: bo cię nie zna:

— No, to ja jéj powiem: mam imie Karuś!

248.

— Łukaszu! zbudzisz mię jutro o saméj czwartéj bo trzeba mi wyjechać przed piątą.

— Bardzo dobrze! ale pan będzie łaskaw na mnie zadzwoni.

249.

— „La bourse, ou la vie!“ (worek albo życie!)

— La Bourse — odpowiedział niezmięszany P. Odry — trzecia stąd ulica na prawo: co do rady, (l'avis) tę najlepszą podać ci mogę, abyś odmienił sposob życia.

250.

— Pani! — spytał stary Marcin ukazując na działający telegraf — czy to na deszcz czy na pogodę?

251.

Oddział Davonst'a zajmujący wyspę Rugen, otrzymał rozkaz wystąpić natychmiast i dopełnił tego tak śpiesznie że zapomniano o szyldwachu postawionym na jedném odległém nadmorskiém stanowisku. Biedny żołnierz był w rozpaczy. Z czasem jednak oswoił się ze swoim stanem, ożenił się na wyśpie i był szczęśliwym. W pięć lat potém postrzeżono z daleka zmierzającą ku wyśpie eksadrę. Żołnierz wybiegł patrzeć z innémi, i wnet rozpoznał uniformy wielkiéj armii. — Zginąłem! — rzekł do żony — zostanę rozstrzelanym! — ale po chwili przychodzi mu myśl szczęśliwa. Bieży do chatki, chwyta mundur, broń, czapkę i staje w miejscu gdzie miała wylądywać eskadra.— „Kto tam?“ woła on walecznie na swoich ziomków. — „A tyś kto?“ odpowiadają mu z okrętu. — „Szyldwach.“ — „Od jak dawna?“ — „Stoję tu od lat pięciu!“

Ucieszony Davonst dał mu zupełną dymissiją.

252.

— Rok dziś temu — rzekł do Filippa II, Kardynał Granvelle — jak ojciec waszéj królewskiéj Mości (Karol V) zrzekł się tonu.

— I rok dziś temu — odpowiedział Filip II, — jak tego żałuje.

253.

Mściwa pani B. w każdém zdarzeniu i miejscu domierzała najdotkliwszych nieprzyjemności Hrabi S.

Raz Hrabia rzekł jéj spokojnie: — „Pani nadużywasz szacunku jaki winienem płci jéj, i osobistéj wzgardy jaką mam ku niéj.“

254.

Jeden ze służących Karola V, powinął się tak przytomnie, że wywrócił stolik na którym się znajdowało trzydzieści zegarków.

— Szczęśliwszy odemnie! — rzekł śmiejąc się cesarz — zregulowałeś wszystkie co do jednego!

255.

Kardynał Richelieu ilekroć słyszał, że o kim mówiono wiele złego, oświadczał za-

wsze: że chciał-by go poznać, gdyż jest to niewątpliwie człowiek niepospolity.

256.

Godne Buffona są słowa Negrów o Orangutanach: „ten mały ludek, co to niechce mówić, aby go nie zmuszono do pracy!“

257.

Condamine był nałogowie ciekawym. Zastał on raz Panią Choiseul (żonę ministra) piszącą listy, i stanąwszy za jéj krzesłem czytał sobie wygodnie. Pani Choiseul dostrzegła czytelnika, ale udając że go nie widzi, pisała daléj te słowa: „Doniosłabym ci „cóś więcéj: ale Pan Condamine, stojąc za mną, czyta mój list bez najmniejszéj subiekcji.“

— Kto ja? — zawołał dobrodusznie Condamine — ręczę Panią że nie przeczytałem ani słowa!

258.

Dwaj podróżujący Owerniacy obiadowali w gospodzie jakiegoś małego miasteczka. Na nieszczęście w misie rosołu znalazł się dzie-

cinny trzewiczek. Więc ze skargami do *matki*. (Bo podobnie jak nasze mazury, nazywają tak oni każdę gospodynią).

—I cóż to brudnego!—wołała wywijając zakasanemi rękami *matka*.

—Nikt wam tego i nie zadaje, matko!—odpowiedział Owernczyk—ale do milionset, to zabiera miejsce! proszę-ż mieć wzgląd przy porachunku!

Obiadujący w téj chwili przy osobnym stoliku jakiś Paryżanin, powołał także gospodynią, i wyciągając z kotletu długi włos który go oplatał węzłem gordijskim, rzekł jak najgrzeczniéj:

—Każcie-bo, Gosposiu, podawać włosy na osobnym talerzu! Kto zechce, to sobie weźmie!

259.

Gdy postanowiono odjąć dobra duchowieństwu francuzkiemu, przytomni na zgromadzeniu prawodawczém Biskupi i inni duchowni podnieśli taki lament, a ich przeciwnicy taki okrzyk oburzenia, że można było lękać się ostateczności. Całą tę wrzawę, uspokoił Opat Montesquiou kilką słowy.

— „Panowie! — rzekł on powstawszy — w całéj starożytności, i dotąd jęk konających uważanym był za cóś świętego!“

260.

Pan * mawiał: że „nic straszliwszego nad głupstwo połączone ze szczęśliwą pamięcią. Bo proszę dać sobie radę z człowiekiem, który was uciemięża nie tylko swojém własném głupstwem, ale jeszcze i zbiorem innych?“

261.

Wiadomo, że Admirał Angielski Byng został rozstrzelanym za to, że nie dosyć się zbliżył do okrętu Admiralskiego francuzkiego. „Wprawdzie — powiada Wolter — Admirał francuzki znajdował się w tejże samej odległości od angielskiego co i angielski od francuzkiego: ale był to czas, gdy uważano za dobre rostrzelać kiedy niekiedy Admirała, dla zachęcenia innych.“

262.

Ktoś znajdując się po raz pierwszy na morzu napastowany zwykłą morską chorobą, prosił kapitana o zatrzymanie okrętu:

„bo czuję — przydał — że już mi się zaczyna robić słabo."

263.

Spytano raz Woltera jak też się mu wydała mowa Pana W.

— Jak szpada Karola wielkiego! — odpowiedział — I po chwili, widząc, że go nie pojmowano, przydał:

„Długa a płaska!"

264.

— Czytałeś moję odezwę do obywateli względem składki na szkoły?

— Czytałem — odpowiedział zapytany — a Pan Marszałek?

265.

— Wyborną rzecz i nader ważną wczoraj mi król powiedział! — rzekł jeden z próżnych panów dworu Ludwika XIV. — I po tém zagajeniu, zwiastował wiadomość dobrze już wszystkim znaną.

— Był to jakiś dzień szczęśliwy! — odezwał się jeden ze słuchaczy. — Wczoraj także Bourdaloue powiedział dla mnie przepyszne kazanie!

266.

Oto jedna z tysiąca próbek szarlatanizmu paryskiego!

„Rzecz najdziwniejsza pod Słońcem! Potwor wydany na świat z królika i karpia! do widzenia za dwa *sous!*“

Widzowie się zbierają, szarlatan rozdaje bilety, wprowadza i zaczyna:

„Panowie i Panie!“

„Oto w tej stągwi napełnionéj czystą wodą z naszéj wspaniałej Sekwany znajduje się karp żywy, cztéroletni, i bez żadnéj na pozor wady organicznéj. Natychmiast na głos dzwonka wypłynie on na wierzch!“

Dzwoni — i widzowie oglądają Karpia.

„A oto jest królik biały, żywy, bez żadnéj charakterystycznej odmiany prócz czarnéj podłużnéj plamki na prawém uszku!“

W rzeczy samej królik jest żywy, biały, z czarną plamką na jednem uchu.

— „Co się tycze ich płodu — przydaje Szarlatan — znajduje się on teraz w gabinecie Pana *Cuvier* i jest przedmiotem podziwienia najpierwszych uczonych znamienitości Paryża.“

267.

Mézerai historjograf Francji przez skępstwo i ostatnią niedbałość, nosił się nadzwyczaj brudno i obdarto. Raz w podróży pękło mu koło u powozu. Póki je naprawiano, Mézerai ze strapioną miną stał nieopodal od kuźni, rozmyślając zapewne o tém: do jakiego też stopnia zechce skorzystać rzemieślnik z jego przypadku? przechodzący w téj chwili *łucznicy*, których było obowiązkiem zabierać włóczęgów, (archers des gueux) biorąc go żebraka, kazali mu iść za sobą.

— „Trudno mi iść piechotą — odpowiedział z pokorą Mézerai — Ale jeżeli łaska panow zaczekać chwilkę, to zaraz będzie gotowy mój pojazd.“

268.

D'Alembert mawiał: że oklaski i pochwały jakich nawzajem nie szczędzą sobie autorowie, podobne są zupełnie do setnych lat, któremi szafujemy kichającym.

269.

Największymi może męczennikami próżności autorskiéj byli Catherinot i Le Suire.

Catherinot wydawał swe pisma własnym nakładem, rozdarowywał i rozsyłał komu tylko było można, i nie dość mając na tém, podkradał się na ulicach do bukinistów, narzucał im zręcznie swoje książki, a po tém uciekał, jak gdyby popełnił cóś najgorszego!

Le Suire wiecznie obsyłał listami wszystkich znakomitych uczonych, lecz że zajęci widać różnémi obowiązkami nigdy mu nie odpowiadali, dając wzgląd na to Le Suire wyręczał ich i układał sam sobie odpowiedzi ze wszystkiémi należnémi grzecznościami, a potém ogłaszał je w dziennikach. Co najdziwniejsza jednak, umiał on tak przyswoić styl niektórych autorów, że się tylko czytelnicy nie mogli się domyślać zdrady, ale nawet sam Rousseau, przeczytawszy tę mniemaną swoję odpowiedź, dotyla zwątpił o sobie, że nie śmiał jéj zaprzeczać. Sposób Le Suire'a zależał jedynie na tém, że wczytywał się on wciąż bez odpoczynku przez dni kilka w pisma autora, którego miał naśladować — i jak ten kamień boloński zatrzymujący w sobie światło słoneczne, świecił on potém na chwilę blaskiem pożyczanym.

270.

— Ty chcesz mojéj śmierci! — zawołał S. do swojego zajękliwego siestrzana.

— I owszem wujaszku!!

Intencija biednego młodzieńca mogła być jak najlepsza; ale syknęła tylko i zgasła jak proch na panewce.

271.

— „Potrzeba poczekać! jeszcze się oni gniewają!“ rzekł Henryk IV, gdy mu donoszono, że w niektórych kantonach Francji, lud dotąd pomija go w supplikacijach.

272.

Lagrange - Chancel napisał ładną piosenkę, która wnet się upowszechniła. W jednem towarzystwie jakiś młody człowiek pozwolił sobie przyznać się do téj piosnki i z przyzwoitą skromnością odbierał powinszowania. Przypadek tak zdarzył, że w téj właśnie chwili nadszedł Lagrange.

— Jakże to dobrze! — zawołał jeden z przyjaciół poety — za jednym razem przynajmniej i tobię powinszujemy! Pan * tylko

co nam oświadczył: że to on napisał tę a tę piosenkę!

— Dla czegożby nie mógł napisać — odpowiedział Lagrange spokojnie — kiedym ja mógł ją napisać?

273.

Pytano raz Pani de Rochefort: czy chciałaby znać przyszłość?

— Ani trochę — odpowiedziała bez namysłu — musi być ona podobna do przeszłości.

274.

Mówiono raz Panu Borda: że znany Struensee wyznał przed sądem swoje stosunki z królową Duńską.

— Francuz — rzekł on — rozpowiedziałby o tém przed całym światem, ale nigdyby nie wyznał.

275.

Gdy Bignon został mianowany królewskim bibliotekanem, wuj jego d'Argenson znając z bliska talent i wszystkie wiadomości nowego bibliotekarza, powinszował mu w te słowa: „Chwała Bogu! doskonałą bę-

dziesz miał teraz zręczność nauczyć się czytać!“

276.

— Błoto paryzkie — mówił jeden Gaskończyk — to ma w sobie najgorszego, że robi czarne plamy na białych pończochach — a na czarnych białe.

277.

Chwaląc swojego La Fontaina, którego wymieniała, jak wiadomo, trzecim z porządku po piesku i kocie — Pani de La Sablière przydawała: „Jest to tak poczciwe stworzenie, że nigdy nawet nie skłamie w prozie!“

278.

Dwaj starzy gracze ucierali się z sobą w rumelpikietę. Jeden z nich któremu zagrażała tak nazwana *kapota*, mając do wyboru między dwuma tuzami, odkrył oba, i biorąc z kolei to za jednę to za drugą kartę, starał się wyczytać z oczu przeciwnika, którą ma odrzucić? Za ten podstępny fortel strona przeciwna umyśliła się zemścić. W chwili gdy przegrywający niby wyciągał tuza którego w rzeczy saméj należało odrzu-

cić, przeciwnik nastąpił mu z lekka na nogę, jakby dając do zrozumienia, że się myli. Gracz pojął ten znak, zrzucił bez dalszego namysłu dobrą kartę, i wziął kapotę.

— Ale któż to znów z panów dawał mi znak, abym odrzucił tego tuza! — rzekł on z gniewem do siedzących przy stoliku widzów.

— Musiał to być ktoś taki — odpowiedział przeciwnik — co się nie sądził obowiązanym do lepszéj rady!

Ale rozsapany gracz nie zwrócił uwagi na to jawne wyznanie, i ciągle mając w podejrzeniu niewinnych, powtarzał — „proszę mi więcej tego nie robić, bo ja tego nie potrzebuję i nie lubię!“

279.

— Kościoł co jest tak pobłażającym — mówiono raz Benedyktowi XIV, czyliżby nie mógł postanowić: aby zamiast czterdziestodniowego ciągłego postu, dzielił się on na cztéry dziesięciodniowe po każdej z czteréch pór roku?

— I postby zniknął — odpowiedział papież — a zostałoby pewnie cztéry karnawały!

280.

Dziewięćdziesięcioletnia Pani L. rzekła raz do starszego od siebie Fontenelle: „Śmierć o nas widać zapomniała!“

— „Sza!“ — odpowiedział Fontenelle, kładąc palce na ustach.

281.

Pani de Sevigné utrzymywała: że woli natręta niż miłego gościa. Po wyjściu miłej osoby długo jeszcze za nią się tęskni: a po wyjściu nudnika tak się przyjemnie oddycha!

282.

— Weź szpadę! — rzekł rozkazującym głosem, obrażony Pan * do Gaskończyka.

— Możesz Pan dać to poruczenie jednemu ze swoich służących! — odpowiedział Gaskończyk — i oddalił się ze szlachetną dumą.

283.

Fontenelle mawiał: że każda nowa idea wchodzi jak klin: ale tępym końcem.

284.

Stara Hrabina * urodzona Hrabianka ** opowiadając swojemu wnukowi o cholerze, zakończyła w ten sposób:

— „Słowem, była to, moje dziecię, tak wielka klęska, że nawet ludzie wysokiego urodzenia nie byli od niéj wolnymi.“

285.

Po wyliczeniu swojemu słudze pięćdziesięciu, jak się mówi technicznie, odlewanych, jakiś Pan przydał: — „To za to - żebyś się nie mięszał nie w swoje rzeczy!“

— „Dla czegoż mi wielmożny Pan nie wytłumaczył pierwej! Jabym to pojął od pierwszego razu!“

286.

Po sędziwym Biskupie nastąpił człowiek młody. Objeżdżając dijeceziją spytał on w kościele, jednej wieśniaczki: czy była bierzmowaną?

— Byłam Panie! — odpowiedziała — przez nieboszczyka pańskiego ojca.

287.

Cesarz August płakał rzewnie po śmierci jednego ze swoich przyjacioł.

— Uspokoj się Panie! — powtarzał mu jeden z dworaków — łzy twoje go nie wskrzeszą.

— Dla tego też i płaczę! odpowiedział cesarz.

288.

— „Konstytucija nasza — pisał Franklin do swojego przyjaciela P. le Roy — zdaje się być niezachwianą; ale na tym świecie dwie tylko rzeczy są pewne: śmierć i podatki!“

289.

Komuż nieznajomy nieunikniony wstęp do każdéj z powieści *Tysiąca nocy?* Tłómacz tych ładnych powieści Pan Galland nie jednę niewinną napaść wytrzymał z tego powodu. Raz o samej północy szubrawcy paryzcy podeszli mu pod okna i wywołując go wielkim głosem zmusili że podbiegł do okna w jednéj tylko bieli.

— Pan jesteś P. Galland?

— Ja.

— Tłómacz *tysiąca nocy?*

— Tak.

— Ale czy tylko pewnie Pan nim jesteś?

— Nikt inny.

— A więc „*jeśli* Pan *nie śpisz to opowiedź nam jednę z tych pięknych powieści, których umiesz tyle!*“

290.

Wojskowy jeden prosił przechodzącego cesarza Józefa II, o wsparcie, dla ogarnienia przynajmniéj licznéj rodziny, którą ledwie uratować zdołał z pożaru.

— Nie mam nad dwadzieścia cztéry złote suwereny — rzekł cesarz — nie wiem czy ich wystarczy?

— O, wystarczy i połowy téj summy — odpowiedział oficer — gdyż mi zostało jeszcze dwadzieścia cztéry dukaty.

— Masz je Pan przy sobie? proszę mi dać! Cesarz zmięszał je z suwerenami i oddając wszystko rzekł z uśmiechem: — „podziękuj Pan temu kto wraz ze mną przyczynił się do téj ofiary!“

291.

Daleki od wszelkiéj próżności, kardynał Maury był przecięż dość dumnym. — Za co też siebie masz?“ — rzekł mu raz cierpko Régnaut de Saint-Jean-d'Angely.

— „Niczém jestem gdy się nad sobą zastanawiam — odpowiedział Maury — ale czémś jestem, gdy się porównywam!“

292.

Bardzo ładna ale niemniéj i ograniczona Pani * uskarżała się przed Panią Genlis na swój nieodstępny orszak nadskakujących.

— Nic łatwiejszego jak się ich pozbyć — rzekła Genlis z uśmiechem — przemów pani tylko!

293.

Sławny z roztargnienia i oryginalności postrzeżeń Bétamour, raz po długiém piorunowaniu na miejskie praczki które mu niedawały spać nad rankiem, przydał spokojnie: „Jeśliby człowiek nie bał się Boga i nie miał względu na ich ubóstwo, to dawnoby już podpalił tę rzekę!“

Inną razą widząc jakiegoś zézowatego czytelnika, rzekł z cicha: „Ten osobliwszy człowiek musi być podwójnie uczonym: bo czyta od razu na dwóch stronicach!“

294.

— „Liczą ci moja kochana pięćdziesiąt już latek!“ — rzekła raz jedna z przyjaciołek Zofii Arnould.

— „A ja téj kwoty nie wezmę!“ — odpowiedziała dowcipna aktorka.

295.

Mówiono raz przed Tallejrandem o śmiałości jakiegoś małego obszarpanego złodzieja, który zarwawszy piękny fular, w oczach prawie zawiązał go sobie na szyję.

— „Ależ oczywiście zrobił on to, aby się zakryć!“ — odpowiedział książe (po francuzku: „pour cacher son *coup* albo *cou*“ znaczy *zakryć swą sprawkę i zakryć szyję.*)

296.

Le Sage autor Gil-Blasa, rozmawiał za pomocą trąbki. Z tém wszystkiém lubił on powtarzać, że rad jest ze swojéj głuchoty — ale nadewszystko z trąbki. — „Wchodzę — mawiał Le Sage — do jakiego domu, widzę nowe twarze, spodziewam się posłyszéć cóś nauczającego, albo przynajmniéj dowcipnego: biorę się do mojéj kochanej trąbki — i słyszę same głupstwa! Więc chowam ją pręciutko i wyzywam tych panów, aby mię znudzili!“

297.

— „Boję się Boga — mawiał jeden człowiek rozsądny — a po Bogu boję się tego tylko, kto się nie boi Boga.“

298.

Kromwell, w ważniejszych zdarzeniach, miał zwyczaj dyktować swojemu sekretarzowi kilka sprzecznych roskazów, tak że nie mógł on zgadnąć, który z nich zostanie oddanym do spełnienia.

299.

Buffon mawiał o dawnych pustelnikach, że przy zgonie nie kończyli oni życia, ale kończyli umierać.

300.

Marmontel chlubił się raz, że sekret wierszy Racina jest dobrze wiadomym.

— Być może — rzekł Arnaud — i przyznać należy, że nigdy sekret nie był lepiéj dochowanym!

301.

Hiszpański malarz Pacheco oddał raz na wystawę obraz Zbawiciela, w którym wiele pozostawało do życzenia. Jednego dnia u spodu obrazu czytano napis następujący:

— „Dla czegoś Panie tak blady, wyniszczony, bolesny? odpowiesz mi że to zrobi-

ła miłość! a ja ośmielę się powiedzieć: że *Pacheco!*"

302.

Wiadomo, że Kleopatra aby nie być wprowadzoną do Rzymu w tryumfie, przyłożyła sobie do piersi jadowitą godzinę. Marmontel wziął stąd przedmiot do swojej trajedij *Kleopatra*. Gdy ją dawno na teatrze, sławny mechanik Vaucanson, (który podejmował się nawet zrobić matematyka) zrobił zmiję tak sztuczną, że w chwili samobójstwa królowej, nie tylko wysunęła żądło ale i zagwizdnęła przeraźliwie.

Po skończeniu sztuki ktoś spytany: coby o niej trzymał? odpowiedział: „trzymam się zdania żmiji!"

303.

Gdy Gibbon ofiarował Franklinowi egzemplarz swojej historji *o upadku państwa Rzymskiego*, Franklin dziękując rzekł z uśmiechem: że wkrótce spodziewa się dostarczyć mu materjałów do historji: *o upadku państwa Angielskiego w Ameryce.*

304.

Pani de Sevigné opowiada: że wstępującemu na kazalnicę księdzu Desmares, wręczył ktoś do przeczytania króciutki drukowany okólnik Arcy Biskupa Paryzkiego.

I po skończonéj nauce, Desmares przeczytał przez okulary, do ostaniego prawie słowa, następujące obwieszczenie: „Ze strony księdza Arcy Biskupa Paryzkiego, ogłasza się wszystkim prawowiernym małżonkom tutejszego miasta, że ich żony się całują. Allelu!“...

305.

Wespazijan przed samym zgonem rzekł z uśmiechem do swoich przyjaciół: „czuję już że staję się Bogiem.“

306.

Jeden z jenerałów niechętnie widział wzrastającą sławę księcia Kondeusza i nieraz uwłaczał jego talentóm.

Po znamienitém zwycięztwie pod Rocroi, rzekł on pochlebnie do Kondeusza: „Cóż teraz powiedzieć mogą zawistni?“

—„Pytam Pana“ odpowiedział książę.

307.

Majestatyczny Piron, opierając się na swéj lasce, zwolna przechadzał się po ogrodzie.

— Nie czystyż to prałat? — rzekł jeden z dwuch jego znajomych, którzy mu szli na spotkanie.

— Przyzostań troche, a ja pojdę i poproszę go o błogosławieństwo! — odpowiedział tamten.

I zbliżywszy się do Pirona nachylił się przed nim w kornej postawie, z rękami na piersiach złożonémi.

Piron, który tę myśl odgadł, kładnie mu z powagą ręce na głowie, a potém wznósząc laskę: — „Wstawajże rzecze prędko: albo cię pobierżmuję!“

308.

Odłużony jeden obywatel dawał świetną i zbytkowną ucztę pod przejazd jednego z wyższych urzędników.

— Na co tyle kosztownéj wystawy! — wymawiał mu przejeżdzający.

— Uczyniłem, com był powinien! — odrzekł gospodarz.

— Aleś pan winien za wszystko, coś uczynił! — odpowiedział urzędnik.

309.

Pelisson był nad wyraz szpetnym. Panna Scudéry rzekła mu jednego razu: „Czyż to można być tak brzydkim! prawdziwie pan nadużywasz pozwolenia!“

310.

— „Odmień mi te brylanty! rzekł Lord * do jubilera — tylko zmiłuj się wstaw szkła mocno błyszczące, aby się na nich nie poznała moja żona!“

— „Już za późno Milordzie! od roku uczyniłem to na rozkaz Miledy!“

311.

Z powodu coraz późniéjszéj pory Paryzkich obiadów, rzekła dowcipna Pani S.: „prawdziwie w tym Paryżu niezadługo obiady będą dopiero nazajutrz!“

312.

Któś z przyjaciół Fontenella zastał go raz w najgorszym humorze.

— Co ci to jest? spytał.

— A to mi jest, że mam służącego, który mi tak źle usługuje, jak gdybym ich miał dwudziestu!

313.

D'Aubigné i La Force nocując w ościennym od sypialni królewskiéj pokoju, długo rozmawiali o królu.

— Słowem — rzekł pomilczawszy czas niejaki D'Aubigné — względem nas, król jest najniewdzięczniejszym z ludzi!

— Co mówisz? — odrzekł La Force, który już zasypiał.

— Jakiżeś głuchy! — odezwał się Henryk IV, przez ścianę — mówi on: żem ja najniewdzięczniéjszy z ludzi!

— Śpij! śpij, najjaśniéjszy Panie! — odpowiedział D'Aubigné — bo wiele jeszcze mamy do pomówienia!

314.

Pan D. po pierwszém przedstawieniu Meropy zaszedł prosto z teatru do domu Pani * gdzie się zbierało zawsze liczne towarzystwo, i cały jeszcze pod wpływem wrażenia, zawołał: „próżno przeczyć! Wolter król poetów!"

— „A ja-ż kto?“ — zawołał porywając się z miejsca, z prawdziwym czy z udanym gniewem, stary abbé Pellegrin.

— Pan? Pan jesteś ich dziekanem!

315.

— Dla czegoby wam nie wykarczować i nie wyrobić tego kawałka pola! grunt jest dobry i mielibyście wdzięczną niwkę! — mówił jeden proboszcz z czasów dziesięciny.

— A dziesięcina, mości proboszczu! czy nam ją ustąpicie?

— Jest to prawo probostwa, którego się zrzeć nie odemnie zależy.

— W takim razie, chciéj Pan wziąść na siebie wyrobienie tego kawałka pola: a ja chętnie poprzestanę na dziesięcinie!

316.

Stary jakiś potwarca wyrzekł: że kobiéty witając się całują się ze zwyczaju, a żegnając się z radości.

317.

Rossini szedł raz o zakład o indyka nadziewanego truflami, i wygrał. Ale spełnienie

zakładu szło cóś w odwłokę. Po kilku tygodniach, spotkawszy się ze zwyciężonym:

— „Na kiedyż nasz indyk?" spytał go Rossini.

— „Jeszcze trufle nie dość są dobre, kochany Rossini!"

— „Ech to indyki tę wieść rozniosły!" odpowiedział Maestro.

318.

Uszczypliwy Bautru, wyczerpawszy cierpliwość księcia d'Epernon którego w każdém zdarzeniu wystawiał na pośmiech, miał jednego wieczora z jego powództwa tak stanowczą utarczkę na ulicy, że pozostało mu tylko wołać: „Darujcie przynajmniéj życiem!"

Udarowany życiem, nie wspominał on nikomu o niespodziance na którą nabiegł i pocieszał się choć tą myślą: że nikt go nie pożałuje.

W kilka cóś miesięcy potém, gdy już boleśny wieczor ze wszystkiemi swojemi następstwami wyszedł mu zupełnie z pamięci, Bautru zdrów i wesoł znajdował się w jedném wesołém towarzystwie. W tém wchodzi Pan S. wita się z nim z kolei, i biorąc

go za obie ręce, mówi z westchnieniem: „Darujcie przynajmniéj życiem!“

— Najosobliwsze echo, o jakiém kiedykolwiek słyszałem! — rzekł biedny Bautru wzruszając ramionami.

319.

Dramatyczny angielski pisarz Nathaniel Lee, nie przestawał pisać i w domu obłąkanych, w którym zakończył życie. Raz gdy uszczęśliwiony z arkusza papieru, którym go stróż obdarzył, pisał w nocy przy świetle księżyca, nadbiegła lekka chmurka i zasłoniła mu księżyc.

— Jowiszu! — zawołał Lee — wstań i objaśń mi księżyć!

Ale jak na toż obłoki zaczęły następować co raz większe i biednemu autorowi zupełnie ściemniało.

Otoż to zgrabny! — przydał poeta polegając od śmiechu — kazałem mu objaśnić a on się zawinął i zgasił!“

320.

Gapienie się albo jak opiewa inna ładna synonima *gawronienie*, od samego dzie-

cińistwa stanowi głowny wdzięk życia Paryżanina.

Mameńko! — rzekła raz jedna dziecina — jakbym ja chciała umrzeć!

— Bóg z tobą, moje dziecię! a toż ci skąd znowu?

— Chciałabym sobie popatrzeć przez okno, jak mię będą prowadzić!

321.

Chamfort dla rozjęcia tych zajadłych uczonych, którzy wyszukują zręczności dla zadraśnienia siebie w swych pismach, powtarzał: „panowie! nie bijcie się na ulicy! Z tylu okien patrzą na was głupcy!“

322.

Gdy na zgromadzeniu prawodawczém szło o wybor prezesa, Mirabeau zabrawszy głos, wyliczał długi szereg zalet jakie powinienby posiadać przyszły naczelnik. Dając wzgląd na okoliczności, i na warunki jakie mówca przedstawiał w najwydatniéjszém świetle, można go było sumiennie posądzać, że przedewszystkiém zalecał siebie.

Rzekł więc Tallejrand z cicha do otaczających: — „Nakoniec przyszły prezes powinien być ospowatym!“

323.

Raz w Ferney, opowiadano sobie po wieczerzy, straszne powieści o różnych napadach, rozbojach i kradzieżach.

— A gospodarz nic nam dziś nie opowiedział! zawołał Pani D. — więc w prośby.

— „Jeden główny dzierżawca ceł — zaczął Wolter — główny dzierżawca ceł... doprawdy, zapomniałem reszty!“

324.

— Cobyś sobie pomyślał Fontenellu, gdyby ci powiedziano, żem kogoś zabiła? — spytała Pani Geoffrin.

— Poczekał-bym dowodów — odpowiedział zawsze rozsądny Fontenelle.

325.

Kardynał Imperiali mawiał: że niema człowieka, któregoby choć raz w życiu los nie nawiedził. Ale gdy zastaje nieprzygotowanym, to wchodzi drzwiami a ulatuje oknem.

326.

Ładnie się mówi w Alkoranie: że gdy w noc najczarniejszą, czarna mrówka przebie-

ga po czarnym marmurze, jest ktoś co ją widzi i słyszy szmer każdego jéj stąpienia.

327.

Przysłowie angielskie mówi: „wsadź tylko nędzę na końca, a zaraz ci utnie z kopyta.“

328.

— Panie Hilary! a mój zając?

— Jegomość Dobrodziéj sobie zdrów żartuje!

— Śliczne *żartuje*, kiedym go nie widział ani w oczy!

— W piątek!!

— W jaki piątek?

— Mówię o onegdajszym, o tym samym kiedym go do Jegomości posłał.

— Kiedy? przez kogo?

— A to proszę Jegomości tak było. Kiedym stąd powracał do domu, dawszy słowo że przyszlę zająca, aż jak raz na szczęście Jegomości, widzę od naszéj brzezinki sadzi kot, na sztych ku mnie, i najrzawszy mię przysiadł. Że nie miałem przy sobie ani kija, mówię tedy jemu: „a ruszaj że prosto do Księdza proboszcza!“ Nie było daléj nad piętnaście kroków, posłyszał więc on mnie

dobrze, i jakem patrzył długo za nim, pobiegł obces do plebanii. To dziw, że on nie był!“

329.

Inny myśliwy opowiadał że ma sposób na sroki.

— Żeby ich była kopa, to ci je wszystkie złapię jednę po drugiéj!

— Na lep? na sidło? w potrzask?

— Bez niczego w świecie, prosto na sér!

— Jak to być może?

— A to tak być może. Kładnę jednego dnia, naprzykład w ogrodzie na drzewie kawałek świéżego séra. Sroka przyleci, zaczyna oglądać, skradać się, dziobać. Ja jej nie przeszkadzam, póki nie zje sobie i nie odleci. Na drugi dzień kładnę znowu kawałek séra — i znowu tak samo jak wczoraj. Na trzeci dzień już nic nie kładnę. Sroka przylatuje raniutko. Szuka séra na zwyczajném miejscu: ale séra niema, bom go nie położył — Otoż mi i jest! i złapana!“

330.

Jeden z przyjaciół Pirona przyniosł mu (mylną) wiadomość o śmierci Woltera.

— Cóż to za szkoda! — zawołał Piron raz i drugi porywając się z krzesła, i mimowolnie zacierając ręce. — Jaka strata dla Francii! Był to bezwątpienia najświetniejszy z naszych dowcipów!

Potém obracając się do gościa spytał: „ale mi ręczysz za pewność tej wiadomości?“

331.

Panna Clairon, której Wolter uczynił wiele dobrego, przybywszy do Ferney dla podziękowania swojemu dobroczyńcy, rzuciła się przed nim na kolana. Wolter ukląkł także, i rzekł z miłym uśmiechem: — „Teraz gdyśmy oboje na ziemi, powiedz-że mi jakże się masz?“

332.

Pan S. rzekł ukazując na jednego ze swoich znajomych, któremu fluksija niemiłosiernie wykrzywiła gębę: — „Co też to człowiek za skryty, a widać gadatliwy z natury! Patrzcie, ciągle coś sobie szepce na ucho!“

333.

Powszechnie uskarżają się na służących, że przywiązują się oni tylko dla interesu.

To wielka prawda! Chałastra ta i w téj mierze sili się naśladować swoich Panów.

334.

Po śmierci okrutnéj Katarzyny de Medicis, kaznodzieja jeden zaczął w te słowa: „Katarzyna umarła. Nie wiadomo czy kościoł powinien za nią się modlić? Z tém wszystkiém, dozwala się czyja jest łaska, zmówić po niéj jedno *Ojcze nasz* i jedno *Zdrowaś*, czy cóś one będą, czy nic nie będą znaczyły!“

335.

— „W młodości mojéj — powiada Sadi — czytałem raz Alkoran dla całéj naszéj rodziny. Czytałem głośno i wyraźnie z tém wszystkiém bracia moi posnęli. — Patrz, rzekłem, ojcze! oni śpią, a ja się modlę. O mój kochany Sadi! odrzekł on ściskając mię z czułością: nie byłoż-by lepiej, jeślibyś zasnął także, niż żeś tak próżny!“

336.

Piron opisywał Wersal w ten sposob: „miasto oddalone od Paryża o cztéry mile drogi a o sto mil gustu.“

337.

Jeden z najsławniejszych greckich poetów nazywa ludzkie życie: „marzeniem cienia.“

338.

Dorat porównywał poetów do rolników. „Sieją oni — mawiał — obficie: gdyż wiedzą że nie wszystkie ziarna wschodzą.“

339.

Pani Maintenon, potém żona Ludwika XIV będąc jeszcze dziecięciem i płynąc z matką do Ameryki, zachorowała tak ciężko, że po kilku dniach choroby, poczytano ją za zmarłą i miano już rzucić do morza. Biedna matka chciała ją ucałować raz jeszcze. W tém ostatniém długiém pocałowaniu, trzymając rękę na sercu swojego dziecięcia, odkryła ona jakiś wątpliwy znak życia, który chociaż się nie prędko powtórzył i poczytanym był z razu za macierzyńskie złudzenie, z tém wszystkiém nic już nie zdołało oderwać od dziecięcia matki, która jeszcze miała nadzieję.

Bossuet, któremu Pani de Maintenon opowiadała o tym wypadku swojego życia,

rzekł wzruszony: „Z tak daleka nie powraca się dla fraszki!“

340.

Fizyk Rohault chciał dać ślepemu od urodzenia Panu Chatelain choć przybliżone pojęcie światła. Gdy objaśniał jego własności przez różne porównania, Chatelain przerwał mu wołając: „Już rozumiem! rozumiem! musi to być cóś podobnego do cukru! nieprawdaż?“

341.

Spartańczyk chciał się widzieć z jednym z Archontow: ale mu odpowiedziano, że urzędnik nie domaga.

— „Powiedź swojemu panu — rzekł on słudze — żem nie przyszedł z nim się bić, ale pomówić.“

342.

Raz na wyjściu z teatru podczas wielkiego deszczu, wiele osób oczekiwało przejścia ulewy. W tém jakiś Gaskończyk ubrany leciuchno i najnieszczęśliwiej zmoczony schronił się także pod kolumnadę. Całe to-

warzystwo suchych, jak naturalnie, obróciło oczy na zmokłego.

— Założę się — rzekł Gaskończyk — że służący nie musiał mi podać płaszcza!

— Przystępuję do połowy zakładu! odezwał się P. Beautru.

343.

Po wielu odroczeniach Pan S. rzekł swojemu wierzycielowi:

— Bądź spokojnym mój Panie! za dwa tygodnie najdalej, postaram się ci oddać twój tysiączek, tym czy innym sposobem!

— Byleby tylko sposob był podobnym do mojego tysiączka! odpowiedział biedny wierzyciel.

344.

— Dla czego jesz na rynku? — spytał ktoś Diogensa.

— Dla tego, że mi się jeść chce na rynku — odpowiedział nieubłagany szyderca.

345.

Gdy Kromwell znajdował się w Szkocii, Parlament Londyński odjął mu tytuł naczelnego wodza. Uwiadomiony o tém Kromwell, wraca śpiesznie do stolicy Anglii,

wchodzi z oddziałem wojska do parlamentu, prosi członków na ustęp, i zamknąwszy izbę obrad kładnie na niéj napis: „*Dom do najęcia.*“

346.

Cesarz Józef II, podczas wojny tureckiéj wysłał księcia Karola (starszego syna księcia de Ligne) z oddziałem wojska dla rozpoznania tureckiéj twierdzy Schabbath. Minęła godzina i druga, wysłany nie wraca: Cesarz się niecierpliwi. Dają znać wreście o jego powrócie.

— Strułeś nam tyle drogiego czasu! — zawołał Cesarz opryskliwie — Cóżeś nam przyniosł? czyś widział przynajmniéj fortecę?

— Wziąłem ją odpowiedział książe z krwią najzimniejszą.

347.

Ktoś wyjeżdżając do Quimper-Corentin udał się do kancellarii miejscowego mera o świadectwo. Pisarz mera tyleż biegły w jeografii, co i w ortografii, niewiedząc jak napisać w pasporcie: *Quimper-Corentin*, spytał naiwnie proszącego: „nie będzież Panu jedno pojechać gdzieindziéj?“

348.

Wiadomo, że kupcóm dobrą jest każda podręczna przyczyna dla podniesienia ceny towarów. Podczas jednéj wojny, zapatrzywszy się na innych, i fabrykant świéc podniósł cenę swojego towaru.

— Cóż to! — rzekł jeden z kupujących — chcesz nam Pan wmówić, że teraźniéjszą wojna toczy się przy świécach!

349.

Hrabia D. dawał wspaniały wieczor w swoim hotelu. Przy wieczerzy najwytworniéj zastawionej, ściągnął powszechną uwagę obrus rzadkiéj piękności i roboty. Nadwszystko księżna S. zachwycała się nim raz po raz, nie ustając w pochwałach. Gospodarz chcąc, bądź co bądź położyć koniec temu niewyczerpanemu uniesieniu, rzekł zbliżywszy się do księżnéj: że jeśli się tylko podoba, obrus ten jest na jej usługi.

— Jak to! — odpowiedziała księżna zdziwiona i uradowana.

— Bez żadnéj wątpliwości! — odrzekł Hrabia spokojnie — nic łatwiéjszego jak go

nabyć: bo wziętym on jest jednorazowie, tylko na dzisiéjszy wieczor.

350.

— Panie Chapski! daj nam kwasek z zająca: tylko nie taki jak to kiedyś.... pamiętasz?

— E co tam, co było a nie jest, nie pisze się w rejestr! Nie budź pan *kota* kiedy śpi! — Dam panom moim „tego momentu, wyśmienity kwasek!"

351.

Uczony Pan W. wyrażał się zawsze ogólnikami. Raz gdy mówiono o płci piękněj i ktoś nazwał kobiétę arcy-dziełem stworzenia — „Tak jest — rzekł Pan W. z przyzwoitą powagą — w rzeczy saméj jest to to, co w tym rodzaju mamy najlepszego!"

352.

Wiecznie zajęty swojém *szlachetném zdrowiem*, Pan * wróciwszy z teatru opowiadał o nowej sztuce, którą tego wieczora po raz pierwszy dawano. Ktoś zapytał: czy sztuka pisaną jest prozą? czy wierszem?

— W rzeczy saméj nie uważałem — odpowiedział referent — już od trzech dni taki mam katar, ale to taki katar, że wyobrażenie przechodzi!

353.

Za czasów Rzeczypospolitéj Francuzkiéj gdy szlachectwo i tytuły zostały zniesione, jakiś spanoszony lokaj mówiąc o dawnéj szlachcie przydawał zawsze: „Pan taki a taki, *przedtém szlachcic.*“ Rivarol nazywał go nawzajem: „Panem *przedtém z tyłu*“ (ci-devant derrière.)

354.

Spokojny jeden małżonek nucił sobie ciągle te dwa wiersze z jakiejś dawnej ballady:

„*Król do królowéj rzecze:*
„*Posłuchaj moje kochanie!*“

— I cóż tam więcéj? spytała zniecierpliwiona żona.

— Albo ja wiem? Daj mi asani święty pokój! Ja się w politykę nie wdaję!

355.

Zapłaciwszy za dużą srébrną cébulkę, Pan pod-kommissarz * postrzegł wiszący na

ścienie malutki płaski repetijer. Rzeczę tedy z najlepszą wiarą do zegarmistrza: „*A tego maleńkiego* to pozwól mi już Jegomość wziąć w przydatku, na gościniec dla mojego Józia! Bo żebyś Jegomość wiedział: co to za sprytny i ciekawy chłopiec! i jak on będzie kontent z tej fraszki!“

356.

Bardzo nieładny Leoś i bardzo śliczna Rózia wychowywali się w jednym domu. Raz podczas lekcji, weszła matka chłopczyka i rzekła gładząc go po głowie: „Jeżeli będziesz umiał lekciją Leosiu, to przyrzekł mi Pan R. że przyjdzie dziś po obiedzie i zdejmie twój portret!“

—„Dobrze, dobrze, moja mamo! ale niech będzie podobny do Rózi.“

357.

Oficer jeden francuzki z powodu pojedynku zmuszony do ucieczki, zalecony był przez ministra francuzkiego Fryderykowi Wielkiemu. Spytany od króla co go zniewoliło do opuszczenia ojczyzny, tak się tłumaczył: „Pułk nasz stał w Metz, najjaśniejszy Panie. Raz w kawiarni przyszło

nam do sporu z jednym z kolegów. Mając po sobie słuszność, gdy mój kolega stał tylko uporem, rzekłem mu bez ogródki: że tyle się zna na logice co Szwajcar. Jak na toż, w liczbie obecnych był jakiś oficer szwajcarski. przystąpił on do mnie, szukając zwady ze zwyczajną niemiecką kłótliwością. Biliśmy się więc: on poległ, a jam musiał uchodzić.“

— „Nie jesteś Pan szczęśliwym w przysłowiach, jak uważam“ — rzekł król z uśmiechem. — S tém wszystkiém dał mu miejsce w swém wojsku.

358.

Ilekroć Ludwik XIV, był na polowaniu, wożono za nim czterdzieści butelek win, o które najczęściej król ani zapytał. Raz, mając pragnienie, kazał sobie podać szklankę wina.

— Już go nam zabrakło, najjaśniejszy Panie!

— Jakto! a więc przestaliście brać z sobą te cztérdzieści butelek, na które raz na zawsze był rozkaz?

— I owszem, najjaśniejszy Panie, mieliśmy je z sobą: ale tyle osób....

— Proszęż brać odtąd cztérdzieści i jedne butelkę, aby też choć jedna została i dla mnie!

359.

Raz, w kąpieli spytał Tamerlan perskiego poety Homedi: ile by też go cenił?

— Około trzydziestu *asprow!* — odpowiedział wręcz Homędi.

— Ależ mój ręcznik, wart tyle! — przekładał Tamerlan.

— To też ja liczę z ręcznikiem! odrzekł spokojnie poeta.

360.

Młody jakiś ochotnik stawił się przed Kartuszem i prosił o przyjęcie.

— Gdzieś dotąd służył spytał go watażka.

— Dwa lata służyłem u Pana * a sześć miesięcy u Ober **

— Cały ten czas zostanie ci zaliczonym, jak gdybyś był z nami w górach!

361.

Harduin mówiąc o zmyślności i przenikliwości małp, upewnia: że jedna z nich ogrywała w szachy Karola V, i opowiada z tego powodu zdarzenie następne:

— Raz Cesarz straciwszy grę bardzo dobrą, w chwili mimowolnego gniewu uderzył swoję przeciwniczkę i zmięszał pieszki. W kilka dni potém grano znowu. W drugiéj cóś partii zagroziwszy matém królowi, ostróżna małpa porwała jedną łapą za blisko leżącą poduszkę, i zasłoniła się ną jak tarczą, a drugą łapą przewróciła szachownicę.

— Jaka nauka dla dworaków! przydaje Harduin.

362.

Jeden z oficerów, chcąc zaszkodzić przed ministrem swojemu pułkownikowi, doniosł nań listownie, że jest czarnoksiężnikiem. Minister Louvois odpisał w te słowa donosicielowi: „Doniesienie pana miałem zaszczyt odczytać najjaśniéjszemu Panu. Jego królewska mość raczył mi odpowiedzieć: że nie wie o ile Pułkownik * może się znać na czarnoksięztwie: ale wie dobrze, że Pan nie jesteś czarnoksiężnikiem.“

363.

Kilku pijanych Ateńczyków miotało obelgi na przechodzącą żonę Pizystrata. Naza-

jutrz ze łzami przyszli błagać o przebaczenie. „Mylicie się — rzekł im Pizystrat — moja żona wczoraj przez cały dzień nie wychodziła z domu.“

364.

Stary jakiś odludek napisał długą rozprawę, w której dowodził, że kobietóm trzy razy tylko w życiu należałoby pozwalać wychodzić z domu: do chrztu, do ślubu, i w orszaku pogrzebowym. — Jedna z czytelniczek tej grzecznej rosprawy dopisała na końcu: „Uprasza się o pozwolenie wyjścia raz czwarty, dla podziękowania autorowi.“

365.

Cesarzowi Józefowi II, raz w czasie podróży po Włoszech pękło koło u pojazdu. Dostawszy się jakkolwiek do najpierwszej wioski, znaleziono wprawdzie szczęściem kowala, ale oświadczył on, że nie może zaraz zająć się robotą, ponieważ wszyscy z wioski wyszli do kościoła, i niéma nikogo do miecha.

— Jeśli o to tylko chodzi — rzekł dostojny podróżny — to ja ci sam pomogę.

I Cesarz wziął się natychmiast do pomocnictwa.

W pół godziny robota była skończoną. Rzemieślnik zażądał sześciu paolów. Podróżny wyrzucił mu sześć dukatów.

— Ale panie! — wołał Włoch biegnąc za odchodzącym. — Raczyłeś się pomylić. Dałeś mi złoto, a skądże ja znów wezmę reszty. Tego w całej wsi naszej rozmienić nie można!

„Rozmień gdzie ci się podoba — odpowiedział śmiejąc się Cesarz — co będzie nad sześć paolów, należy ci za przyjemność jaką miałem w nadymaniu miecha!“

366.

— „To rzecz szczególna! — mawiał jeden sławny lekarz — nigdy mię jeszcze nie zbudzono do osoby, która nie jadła wieczerzy: a ze sto może razy byłem budzonym do osób, które na wstępie opowiadały mi o swojej wieczerzy.“

367.

Doktor * przechadzał się dnia jednego w publicznym ogrodzie. W tém zbliża się ku niemu jakiś przyzwoicie ubrany człowiek,

bierze go za rękę i pyta, czy nie poznaje i nie przypomina sobie Henryka S. s którym przed siedmią laty widywał się w Lille? nie poznany i nieprzypomniany, chce dać jeszcze chwilę czasu pamięci Doktora i prosi go na tabakę. Ale doktor odpowiada, że jéj nie zażywa. — „To dziwna rzecz, zda mi się jednak, że w Lille zażywałeś tabakę Doktorze?“ — „Tak, lecz teraz nie zażywam.“ — A więc do widzenia!

W kwadrans nieznajomy powraca z nowém dla Doktora przypomnieniem, że w Harcourt znajdował się w kollegium z jego rodzonym bratem. — „Być może“— odpowiada sucho doktor.

I jeszcze propozycija tabaki — i jeszcze odmówienie.

— Otoż to pamięć ludzka! — mówi z uśmiechem nieznajomy — wymagam po tobie, kochany Doktorze, siedmioletniéj, a sam zapomniałem, cóś mi mówił przed chwilą, że już odwykłeś od tabaki. Przebacz wszakże z serca natrętowi i pozwól się prosić na czekoladę!

— Bardzo dziękuję, muszę zaraz być w domu — odpowiada doktor stanowczo — i odchodzi.

— Pożałujesz tego doktorze! mówi nieznajomy za odchodzącym. Przy wyjściu z ogrodu Doktor spotyka kilku znajomych, opowiada im o tym jakimś podejrzanym panu Henryku i stawi im siebie za przykład, że nie dał się schwytać ani na wędkę tabaki ani czekolady.

— A więc za ten heroizm poczęstujże nas swoją albanką! — mówi mu jeden ze znajomych.

Doktor sięga po swoję złotą tabakierę: ale najpierwej wpada mu w rękę jakiś rożowy misternie złożony bilecik.

— Co tego, to nie było już dawno! — rzekł zdziwiony — ślicznie! Do zbudowania! otoż to, kto psuje nasze Paryżanki!

Stémwszystkiém Doktor tknięty tą różową niespodzianką, rozwija ją i czyta:

„Kiedy się odwykło od tabaki, kochany Doktorze, to na cóż i tabakierka!“

368.

W roku 1790, zorza północna była wyraźnie widzianą w Paryżu i zrobiła wielkie wrażenie. Gdy nawet w jedném z wyższych towarzystw, nie obeszło się z tego powodu

bez pewnych obaw i przepowiedni, dowcipny Rossyjski książe * powtarzał kobietóm: „Bądźcie panie spokojne! Jest to nic więcej jak łuna od petersburskiej illuminacji.“

369.

Fouquet chociaż utracił cały swój wpływ u dworu, i w jawnej był niełasce, miał aż do zgonu przyjacioł. Lekarz jego, zacny Pecquet powtarzał: że słowa Fouquet i Pecquet jak rymowały się dotąd, tak i zawsze będą w rymie.

370.

— Uśmiech na okrągłej twarzy — powiada Pani Necker — tak podobnym jest do płaczu, że o dwa kroki nie podobna jest dostrzedz różnicy.

371.

W bitwie pod Ettinghen, na czele jednego oddziału jazdy Angielskiej znajdował się oficer, który miał jednę tylko rękę i tą trzymał cugle. W attaku zanosi nań pałasz oficer francuzki, lecz widząc kogo ma przed sobą, w tej samej chwili zniża pałasz i robi swojemu przeciwnikowi honory wojskowe.

372.

Podczas elekcji papieża Klemensa XIV, przysłano królowi Ludwikowi XV, listę kandydatów. Na czele kandydatów był pomieszczonym kardynał Sacripanti. Król prosił księcia de Noailles aby mu w głos odczytał listę, a sam przechadzając się liczył imiona.

— Cóż to jest? — rzekł król gdy książę skończył czytać — mówiono mi za rzecz najpierwszą o dwunastu kandydatach, a tu ich mamy tylko jedenastu?

— Tylu ich jest na liście — rzekł książe podając papier.

Król rzucił okiem i od razu dostrzegł Sacripanti.

— Boś opuścił, książe, kardynała Sacripanti!

— Doprawdy, rozumiałem, Najjaśniejszy Panie, że to jest ogólny tytuł kardynałów będących na liście.

373.

Dobry La Fontaine był żonatym: ale nie długo cóś po ślubie, gdy z powodu jakiejś małej domowej rozterki powiedziała mu żona, że możeby było spokojniéj, jeśliby miesz-

kali oddzielnie: wziął on tę radę dosłównie, pojechał do Paryża i przez lat kilka ani się odezwał do żony. Wmówiono mu raz jednak i nawet wyprawiono, aby się pojednał. Pojechał więc. Któryś z nowych sług Pani La Fontaine, nie znając gościa, powiedział mu sucho: że Pani nie ma w domu, wyszła *na Anioł pański* i nie powróci chyba aż za dobrą godzinę. Gdy przyjezdny przechadzał się sobie najspokojniéj około domu, przypadkiem przyjeżdżał jeden z sąsiadów, i ani się domyślając, że się on jeszcze nie widział z żoną, zagrabił go do siebie na wieczór. Na wieść o La Fontainie zbiegło się kilka osób z sąsiedztwa, i jedna z nich wymogła na nim, że się dał odwieść jeszcze o parę mil ku Paryżowi. Na trzeci dzień, przypadły imieniny innego sąsiada i uwieziono biednego małżonka jeszcze dalej ku stolicy. Po imieninach miał on już stanowczo wracać do żony na pojednanie, ale potrzebaż, że za dni parę przypadało jakieś uroczyste posiedzenie akademji! Ledwie La Fontaine dał się s tém słyszeć, aż inny uczynny sąsiad jadący właśnie do Paryża, oświadczył: że go z całego serca zabierze. A więc i wrócił sobie szczęśliwie nasz bajkopis.

— Cóż? pojednaliście się? opowiedz nam jakże to było? pytali go przyjaciele paryzcy.

— Kiedyż nie zastałem jej w domu — raportował najdobroduszniej małżonek — gdyby półgodziny pierwej to byłbym jeszcze zastał: bo wyszła *na Anioł pański*.

— Rekomenduję wam człowieka jedynego do komissu! — przydawała Pani de La Sablière.

374.

Gdy Woltera transportowano do Berlina, z rozkazem czynienia mu wszelkich wygod i grzeczności po drodze, na pierwszym noclegu w królestwie pruskiém uroskoszowano go stosem poduszek i pierzyn. Cicho i mężnie wytrzymał on całą operaciją, ale gdy już zdawała się skończoną, rzekł błagającym głosem do królewskiego urzędnika: „Rozkaż Pan przynajmniej, aby prędzej przychodził ten pan który ma spać na mnie: bo potém mię obudzi.“

375.

Kardynał de Noailles odwiedzając więźniów i obłąkanych w Bicétre, ujęty pełném rozsądku i uczucia opowiadaniem jednego

z liczby tych ostatnich, który, — jak i wprzódy słyszał cóś o tém kardynał — miał się stać ofiarą rachuby i chciwości krewnych, przyrzekł mu po półgodzinnéj rozmowie: że w następnym tygodniu odwiedzi go i zapewne oznajmi mu uwolnienie.

Uszczęśliwiony młodzieniec, dziękując ze łzami, ośmielił się jeszcze jednę prośbę zanieść do kardynała.

— Codzień i co godzina — mówił — będę wyglądał z utęsknieniem twojego przyjścia, Panie: byleby tylko nie w sobotę; bo w tym dniu raczą mię odwiedzać nasi dobrzy zmarli królowie; nie wypada mi więc nie dołożywszy się wprzódy...

— Zapewne! — odrzekł kardynał. — Dobrze, żeś Pan mię o tém uprzedził.

376.

Pan * za powrótem do domu pytanym był: jak przepędził wieczor?

— Byłem w dwuch domach — odpowiedział — i w obu znudziłem się najserdeczniéj. Jak-bo też nudnie bawią się w naszém mieście! W jednym domu wszyscy grają w *preferansa*, a w drugim w *eksellansa*.

377.

Jeden ze znakomitych naszych pisarzy powiada: że gdy w którymś z powiatów Gubernji ** pokazały się po raz pierwszy cygara, w niewinnéj niewiadomości zabierano się do octu i oliwy: bo wzięto je za minogi.

378.

Mówiono o Pani de la Sabliére: — „czuje ona zawsze, nie zadając sobie trudu myślenia.“

379.

Piron przypisał trajedıiją swoję *Gustaw* królowéj Szwedzkiéj. Dziękując za ten dar przez posła, królowa poleciła mu pomyślić nad sposobem wywdzięczenia się autorowi. Hrabia Livri, którego poseł Szwedzki prosił o pośrednictwo w téj mierze, przyprowadził mu samego Pirona. Było to w czasie gdy Francija prowadziła układy ze Szweciją o posiłki dla Stanisława Leszczyńskiego.

— Prosiłbym — rzekł Piron wesoło — o dziesięć tysięcy wojska dla Króla Stanisława.

380.

Raz Pani Geoffrin żywo coś wymawiała

młodemu literatowi, którym się szczérze opiekowała. Młodzieniec nie szczędził dowodów i głosu na swą obronę. Na wrzawę tę nadszedł d'Holbach.

— Cóż to znów? — spytał — czyście tylko Państwo tajemnie z sobą się nie pobrali?

381.

Marszałek Bassompiere, trzymany od kardynała Richelieu przez lat dwanaście w Bastylji mawiał: — „Po tylu latach tę jednę tylko znalazłem odmianę w Paryżu: że mężczyzni chodzą bez brod, a konie bez ogonów.“

382.

Pani * dała się raz słyszeć: że nie cierpi ludzi słusznéj urody. Na nieszczęście słowa te powiedziane były w obecności człowieka, który mógł je do siebie zastosować, i na którym Pani * od pierwszych chwil zrobiła najmocniejsze wrażenie. — S tém wszystkiém, przez dziwaczny zbieg losu, człowiek ten z czasem potrafił jéj się podobać. Raz, widząc ją zamyśloną, zapytał: o czém by też tak głęboko?

— O tém — odpowiedziała z uśmiechem,

który go uszczęśliwił — że Pan codzień malejesz w mych oczach.

383.

— Pożycz mi, proszę, sto złotych.

— Niemam przy sobie nad siedmdziesiąt.

— To choćby siedmdziesiąt! Trzydzieści będziesz mi winien.

384.

Raz śpierając się o cóś z Santenil'em, Książe Kondeusz trochę boleśnie od niego zadraśnięty, rzekł z uśmiechem: — „Zbyt już mię hasasz Santeuil'u! Nie zapomnji, do licha, żem ja Książe krwi!"

— „A jam książe dobréj sprawy! co jest daleko więcéj!" odrzekł żywo Santeuil.

385.

Książe R. cierpiał niemiłosiernie na zęby. Jakiś wędrowny cudownik podejmował się go uleczyć, oświadczając: że posiada niemylny sposób do téj boleści.

— A skąd jesteś kochanku? spytał Książe.

— Z Kurlandji, mości Książe!

— To dosyć z daleka. A jakże się dostałeś do naszego miasta?

— Piechoto, mości książę. Zwyczajnie jak biedny człowiek!

— W takim razie, daruj mi że nie mogę zaufać twojemu sposobowi. Nie dla tego, żeś biedny, ale dla tego że gdybyś posiadał ten sposób, to przyjechał-byś tu w karecie.

286.

Gresseta ciemiężono raz cały wieczor grą w zagadki. Znudzony, do ostatniego, zagadnął on z kolei:

„*Noszą mię na głowie. Nie rozumiesz, co to?*

„*Mam imie kapelusz. Odgadnji-ż tępoto!*

Wszyscy się rozśmieli, prócz najdomyślniejszego z grających, który zwiastował; że to jest peruka.

387.

Korzystając z chwili, gdy Fryderyk wielki patrzył w okno, jeden z jego pokojowców zbliżył się cichutko do leżącéj na stoliku tabakierki i wziął szczyptę tabaki. Na nieszczęście król tego dostrzegł: i biedny chłopczyna *dostrzegł* także — mówiąc sposobem Danta — że został *dostrzeżonym*. Stał więc jak wkópany.

— Czy ci się podoba ta tabakierka? — spytał król po chwili.

Chłopiec milczał. Król powtórzył pytanie.
— Tak jest, Najjaśniejszy Panie! — odpowiedział drząc cały.
— To weź-że ją sobie: gdyż na dwuch jest ona za małą.

388.

— Złodziéj! gwałtu! rozbój! — daje się słyszeć na ulicy. Przybiegają dwaj najbliżsi stróże.
— Tu! tu! o tu się on przytaił! woła żałośnym głosem napastowany obywatel paryski.
Ale nikogo nie widać. Więc ośmielony Paryżanin prowadzi straż pod samę latarnią, gdzie ukrył się złoczyńca, i gdy już go oddać ma w ręce, przekonywa się: że to i był, i jest cień od słupa.
— Idź spać pijaku! Warto-by ci dać na dobranoc, i zaprowadzić pod wodotrysk dla otrzeźwienia! — rzecze z gniewem jeden ze stróżów.
— A po téj kąpieli, powtórzył-bym mu jeszcze na dobranoc! — przydaje drugi.
— A toż znów co będzie! — odpowiada osrożając się pijany. — To już obywatelowi nie wolno jest w Paryżu lękać się w nocy!

389.

— Są przypadki — mawiał ktoś dowcipnie — w których z zupełną pewnością można polegać na fizijonomji. Jeśli, naprzykład, ma kto oczy czarne a nos krótki, tom już przekonany, że u téj osoby oczy nie są błękitne, a nos długi.

390.

Uważano, że jeden Lord angielski zawsze się zjawiał najpierwszy z oświadczeniami ubolewania i spółczucia wszystkim młodym wdowóm.

— Że też żadna z nich dotąd — rzekł mu ktoś — nie udarowała cię swą ręką, Milordzie!

— Potrzeba na to mojego szczęścia! Zda mi się nie traciłem czasu: a przecież od lat piętnastu po dziś dzień,, wszystkie już były zamówione.

391.

— Jak się masz, kochany Adolfie! Mówiono mi żeś śród swoich prawnych kłopotów, zupełnie stracił głowę!

— A przedemną powiedziano, żeś ty swoję znalazł. To musi być jedna i taż sama plotka.

392.

Arystoteles rzekł o jednym niewyczerpanym rosprawiaczu:

— Nie pojmuję, jak go słuchać mogą ci, którym Bogowie dali nogi!

393.

Poezija, muzyka i malarstwo, są to trzy rodzony siostry, córki wyobraźni. Która z nich najstarsza? niewiadomo: zdaje się jednak, że poezija, bo często sobie gwarzy.

394.

Raz gdy po upałach nastały ostre zimna, ktoś spotkawszy się z Panem Thierry lekarzem, rzekł mu:

— „Teraz to zapewne zagęszczą się słabości piersiowe i zapalenia?

— W rzeczy saméj — odpowiedział lekarz — nie można narzekać!

395.

Mały Leoś znajdował się po raz pierwszy ze swoim nauczycielem w teatrze. Śród sztuki, ciągnie on z lekka swojego nauczyciela za połę, i pyta: „proszę Pana Dobrzyńskiego, czy to ja się bawię?“

— Naturalnie, mój Leosiu!

— Oto się ja jutro pochwalę przed Paulinką! A czy prędko, proszę Pana, to się skończy?

— Czy ci się już spać zechciało?

— I nie! nic to!... Ale proszę mi powiedzieć: jak prędko to się skończy?

— Nie prędko, jeszcze: chyba za godzinę, koło jedenastéj!!

— Powiem jéj, że bawiłem się do samej jedynastej!!

398.

Marszałek de Saxe, chcąc podczas jednéj kampanji zrobić niespodziankę dla swojego głównego sztabu, sprowadził z Paryża, na wagę srébra, kilka funtów zielonego grochu (bo było to w Marcu) i zalecił kuchmistrzowi tajemnicę aż do obiadu. Podano do stołu. Ale gdy z kolei miał groch następować, wniesiono jakąś inną potrawę i widocznie zakłopocony kuchmistrz zbliżył się do marszałka.

— Mości Książe...

— Ale gdzież groch? — przerwał zniecierpliwiony marszałek.

— Było go tak mało po ugotowaniu, że

kuchcik biorąc wszystko za resztki, zjadł tę garstkę prędzej niż mogłem się obejrzeć.

— Wołać mi tego hultaja!

Wchodzi biedny kuchcik bardziej umarły niż żywy.

— Cóż? łotrze! czy groch był dobry?

— Do....b..r..y! odpowiada machinalnie dzieciuch, choć mu już ten nieszczęśliwy groch ogorzkniał.

— To dajcież mu kieliszek wina! — rzekł śmiejąc się Marszałek.

397.

Wolter będąc raz na teatrze w loży śród kilku ładnych kobiét, postrzegł na parterze Pirona: wychyliwszy się więc z loży odezwał się do niego: „Jak się masz Pironie?“ — Piron udał, że nie słyszy zapytania: ale w kilka dni potém znajdując się w loży i postrzegłszy na parterze Woltera, odpowiedział mu z ukłonem: „Bardzo dobrze, kochany Wolterze!“

398.

— W długiém mojém życiu — powiada Fontenelle — całe trzy lata poświęciłem metafizyce. Zajmowałem się nią z Panią * *

W pierwszym roku, rozumieliśmy się doskonale, i wszyscy nas rozumieli. Na rok następny, słuchacze nie mogli już nam dotrzymać kroku: rozumieliśmy więc tylko sami siebie. W roku ostatnim, przyszło do tego, że żadną miarą nie mogliśmy zrozumieć się sami.

399.

Sławny wódz Achejczyków Filopomen był tak nieuprzedzającej powierzchowności, że gdy raz oddaliwszy się od wojska zaszedł do jednej wioski, jakaś niewiastu mając go za prostego żołnierza, nie wahała się zaprosić do rąbania drzewa. I znakomity wódz z dobrém sercem stanął do posługi.

Nad tém zatrudnieniem zeszli go wkrótce podwładni.

— Cóż to robisz? Panie! — zawołali zdumieni.

— A płacę podatek — odpowiedział Filopomen — od mojéj złej miny.

400.

Nie ma przyczyny, którąby nie była dobrą dla rozhukanego pospólstwa. Raz pod-

czas rewolucji francuzkiéj prowadzono pod gillotynę jakiegoś monopolistę.

— Dobrze, dobrze tému przeklętnikowi! wołały liczne głosy.

— Za co też to? dawało się słyszeć kiedy niekiedy nieśmiałe pytanie.

— Alboż nie wiécie — szeptali zapaleńcy przekupkóm — że on miał sposob suszenia śniegu w piecach, i przedawał potém ludowi za sól jak najbielszą?

— Ach! łotr! ach! niegodziwy! — wrzeszczały chorem przekupki.

401.

Za czasów Rzeczypospolitej, przystępuje raz do Napoleona żołnierz w mundurze zupełnie poszarpanym, i mówi doń hardo: „konsulu — obywatelu! potrzeba mi nowego munduru!“

— Nowego munduru! nie pomyślałeś dobrze przyjacielu! — odpowie konsul — chcesz chyba aby twych ran niewidziano?

402.

Postępek Pirona względem synowiey, która mieszkała przy nim, najwięcej może przynosi zaszczytu jego serca. Piron, jak wia-

domo, na kilka lat [illegible] śmiercią zupełnie wzrok utra[illegible] Ko[illegible] [illegible] Panna Piron zaślubiła ta[illegible] [illegible] na związek z którym nigdy się s[illegible] [illegible]dzał, niejakiego Pana *Capron*. [illegible] przez lat kilka w domu Pirona, [illegible] się nieraz w tymże samym pokoju, ale i małżonkowie i domowi tak dobrze umieli dochować tajemnicy, że gdy nawet czasem Piron dosłyszał jakiego niezwykłego szmeru i pytał o przyczynę, umiano go zręcznie zaspokoić i uśmiechano się szczęśliwie nad jego dobroduszną łatwowiernością. Nakoniec Piron zaniemógł śmiertelnie. Kazał on przywołać natarijusza, i podyktował mu te słowa: „Cały majątek zapisuję mojej Synowicy, *żonie Caprona.*“

403.

Ludzie zobowiązani dobrodziejstwy, najczęściej nie mogą znieść tego ciężaru i kończą na niewdzięczności. Z tą myślą, pisał Racine do jednego ze swoich przyjaciół: „Tyleś mi uczynił dobrego: a jednak będę cię kochał jeszcze.“

Niemniéj głęboki znawca ludzi Fontenel-

le ilekroć miał [illegible]ność do zobowiązania sobie ko[illegible] bardziéj może ostr[illegible] inni, chcąc komu zaszkod[illegible] mu dziękowano za jakąś ważną [illegible]

— B[illegible]zepraszam, że zapomniałem — odpow[illegible]dział z pośpiechem.

— O nie, zapomniałeś Pan. Winienem wszystko jego wstawieniu się do Hrabi * od którego wprost tu przychodzę.

— W takim razie, jeszcze raz przepraszam. Mogłem pamiętać w swoim czasie o dopełnieniu danego zlecenia: ale doprawdy zapomniałem, żem to zrobił.

404.

Cerutti powiedział, a wielu udowodniło, że kij jest palmą satyry.

405.

Santenil który miał pierwsze stopnie zakonne, wrócił raz do forty około godziny jedenastej wieczorem. Brat odźwierny składając się roskazem przełożonego nie chciał go wpuścić: a było tak chłodno! więc w prośby, modły, przyrzeczenia: gdy jednak na to wszystko brat Apolinary zdawał się głuchym,

późny zakonnik wsunął przez okienko pół-luidora, i fórtą przyjęła go wreście. Przeziębły Santeuil zapomniał z pośpiechu swojéj książki na ławeczce gościnnéj. Uprzéjmiéjszy już brat Apolinary podjął się mu ją przynieść. Ale zaledwie dał krok za fortę, Santeuil ją zaryglował. Daleko smutniéjszy los biednego brata, gdyż był bosy i w jednéj tylko bieli.

— Panie Santeuil! ależ béj się Boga!

— Potrzeba się bać i księdza Przeora! nie róbcie wrzawy ojcze Apolinary! — z cicha odpowiada Santeuil.

— Ależ ja zrobiłem grzeczność!

— I ja zrobię ją za taką samę cenę!

Koniec końcem pół-luidor wrócił z rąk do rąk, jak gdyby bracia pograli z sobą w faraona.

406.

— Jużem zamówiła guwernantkę — rzekła Pani S. do męża — ale będzie grzeczniéj, jeśli po nią sam pojedziesz!

Delegowany małżonek wybrał się pręciutko i pojechał. Lecz gdy przyszło do powrótu, pomyśliwszy dobrze, umieścił on towa-

rzyszkę podróży w karécie, a sam pod pozorem, że lubi nadzwyczajnie jechać na otwartém powietrzu, (chociaż było to w grudniu) przysiadł na kozłach. Jak na toż, wiatr przeraźliwy dął ciągle w same oczy, drogi było mil kilka, Pan S. lubił sobie zadrzémać w drodze: ze zbiegu tych okoliczności wypadło, że zacny obywatel odmroził sobie nos w całém znaczeniu tego wyrazu.

— Jakąż mieliście podróż? Ale Jezus Marija! Czy może mi tylko tak się zdaje? Mężu! twój nos!

— Nos? nie spodziewam się!... Co prawego ucha, to tak dobrze jak nie czuję.

— Tak i jest! — odmroził!! Już bialuteńki! — śniegu! wody! — wołała załamując białe dłonie Pani S. Potém przydała niemal z gniewem:

— Ale skąd-że ci znów przyszło marznąć koniecznie na kozłach? Czemu nie jechać było w karecie?

— Widzisz-to duszko! — tłumaczył się już nacierany śniegiem małżonek. — Musiałem to zrobić przez wzgląd na twoje dobre słowo... tu jest... chcę mówić, ale nie trzyj-że tak mocno!.. przez wzgląd na moję opiniję.

407.

„Dentysta — mówił Pan * — jest to człowiek, który kruszy innym szczęki, aby się mu ruszała własna.“

408.

Anglik jeden w liście do przyjaciela opisywał w ten sposob, straszliwy pożar Hamburski: „wyobraź sobie, trzydzieści sześć godzin nie golić się i dwanaście godzin być bez obiadu!“

409.

C... biedny aktor mówił do swoich dzieci wieczorem: „kto się położy naprzód i zaśnie bez wieczerzy, dostanie trzy grosze!“

A z rana:

„Kto chce mieć mléko na śniadanie, powinien dać trzy grosze!“

410.

Gdy w roku 1788 książę d'Orléans z roskazu dworu musiał wyjechać do Villers-Cotterets, rzekł Rivarol: „książe ten, wbrew prawom perspektywy, w miarę oddalenia, zdaje się większym.“

411.

Selwin przechadzał się po Hyde-Parku z kilką kobiétami. Jedna z nich powstawała na nieprzyzwoitość, że dozwalano w tém miejscu kąpieli na rzece Serpentynie.

— To prawda, — rzekł Selwin — matki bardzo źle robią, że dozwalają dziewczętóm kąpać się tu i robić tyle wrzawy!

— Bardzo przepraszam, to bynajmniéj nie są kobiety! kąpią się tu tylko męższczyźni!

— Ja to owszem powinienem przeprosić Panią — odpowiedział Selwin ze zdradziecką pokorą — za moje roztargnienie.

412.

Rivarol mówił o sławnym z nieochędóstwa i skępstwa bankierze *: „Jest on tak brudnym, że boi się go nasze poczciwe paryzkie błoto."

413.

Ławnik jeden w Beaune, zawołany gospodarz, wnosił raz na radzie miejskiéj, aby dla ochronienia winnic wyniszczyć biały głog w całéj okolicy: bo się przekonał z długiego doświadczenia, że skoro tylko ten niegodzi-

wy krzew zaczyna kwitnąć, zawsze nie wiedzieć skąd biorą się chłody.

414.

Sławna s przezroczystości strojów Pani T. otrzymała raz z poczty miejskiéj paczkę z napisem: „ubior dla Pani T.“ otworzywszy ją z pośpiechem, znalazła jeden jednuteńki liść figowy.

415.

Zdałoby się, że dzisiejsi dziennikarze otrzymali w spadku dar wszechwiedzy wprost od bajkopisów. Dają oni tego codzień dowody. Jeden z paryzkich dzienników, donosząc o zgonie jakiegoś szaleńca, który się rzucił z wieży Notre-Dame, przydaje że mówił on do siebie spadając: „No to jest nie źle: byleby tylko potrwało!“

416.

— Jest tam kto? Pietrze!
— Jestem, Panie.
— A co robisz?
— To to, to drugie, Panie!
— A Jan jest?

— Jestem, Panie!

— A ty co robisz?

— Pomagam Piotrowi, Panie!

— Jakże tam skończycie, to niech mi który z was poda bóty!

417.

Pan A. wracając z Akademji targował się o cóś z buknistami. Karol Nodier który szedł za nim, widząc że mu wygląda z kieszeni jakiś rękopis, wyciągnął go z lekka, i rzekł z uśmiechem odddając właścicielowi: „Patrz, kochany, że nie znając cię to można by okraść!.“

418.

— Nauki prowadzą do wszystkiego! — rzekł któś w rozmowie z Villemaine'm.

— Pod jednym tylko warunkiem, by je porzucić! odpowiedział Villemain.

419.

Aleksander Humboldt sam się przyznaje do pewnéj dozy złośliwości. Opowiada on, że mieszkając w r. 18** w Paryżu i bywając codzień prawie w domu Pana A. gdzie

się zbierali najznakomitsi uczeni, postrzegł że de Gérando nie bawił nigdy dłużéj nad godzinę. Z czasem wszakże de Gérando też dostrzegł: że w miarę tego jak ktoś ubywał z towarzystwa, Humboldt brał go zaraz na-pytki. Jednego więc wieczora de Gérando robiąc ofiarę ze swojego zwyczaju, postanowił przesiedzieć Humboldta. Uprzejma i pełna przenikliwości gospodyni wpadła na myśl, że de Gérando musi mieć do pomówienia o czémś pilném z jéj mężem, kiedy nad swój zwyczaj bawi tak długo. Zbliżywszy się więc do de Gérando, spytała go otwarcie: czy nie rozkaże zawołać do siebie gospodarza? i wyraziła pobudki, dla których jéj się tak zdało.

—Nie, nie, Pani! Dziękuję jéj z całego serca — odpowiedział de Gérando. — Ale racz sama zważyć, że jeślibym stąd wyszedł przed Panem Humboldtem, przepędził by on mię przez rózgi: wolałem więc sobie pozwolić okrutnéj przyjemności i siedzę tu licząc smaganych.

420.

Głupiec któremu się zdarzy powiedzięć cóś dowcipnego, zdumiewa i przeraża, jak

koń fijakrowy, gdy najniespodzianiéj zarwie czasem z kopyta.

421.

Pan * księgarz, pełen szlachetnego zapału garnienia pieniędzy, ubolewając nad kilkutygodniową przygodą jednego z autorów, piorunował na ostatnią obojętność naszéj publiczności.

— Ależ nie widzę, kogo-by tu można tak bardzo obwiniać? — rzekł ktoś, stając wreście w obronie téj biednéj publiczności.

— Jak to kogo? Ręczę Pana, że jeśliby z którym z autorów cóś podobnego stało się za granicą, w jednym dniu wykupiono-by całe wydanie dzieł jego, za podwójną cenę: a u nas, zajdź Pan do mnie do księgarni, a pokażę mu w rejestrach: że przez ten cały czas, co go Panie, w całéj Europie nazywają *złotym czasem* dla księgarza, *ma foi*, przedano tylko cztéry ekzemplarze, i to jeszcze — *imaginez vous!* — *z rabatem* od ceny katalogowéj!

422.

Za konsulatu Napoleona, Cambaceres'a i Lebrun'a wnosił Tallejrand, aby dla unik-

nienia tego sążniowego wstępu: Obywatelu pierwszy konsulu! obywatelu drugi konsulu i t. d. mówić krótko: *hic! haec! hoc!* (ten, ta, to).

Była to rada wyborna nie tylko pod względem krótkości: określała też ona jak najtrafniéj trzech konsulów — obywatelów.

423.

Nie ma stu lat jeszcze, jak doniesiono jednéj akademji francuzkiéj że „wpuściwszy do wiadra napełnionego wodą, żywego karpia, woda się nie przeleje, pomimo prawa, że każde ciało wypiera ilość wody odpowiednią jego objętości.“ I akademija ogłosiła wiele najciekawszych rozpraw o téj dziwnéj własności karpia. Nakoniec próżniak jakiś, dostawszy żywego karpia, wpuścił go do wiadra wody — i woda się przelała.

424.

— Podług prawideł dobrego stołu — mówił raz znany gastronom Morellet — dwuch tylko być powinno do indyka nadzianego truflami. Mam dziś u siebie indyka, i dwuch też nas tylko będzie: ja i indyk.

425.

Mówią o niejakim Panu de Matignon: że dla zabezpieczenia się od kretów rozkazał wybrukować łąkę — a gdy mu raz kucharz powiedział, że dla dwuch gości i dla niego dość będzie pół-barana, a więc dał rozkaz zabić tylko pół-barana.

426.

Najłatwiej jest bez wątpienia, nic nie robić i *ditto* nic nie umieć. Trzecią zatém kategoriją w tym porządku stanowią nasze recenzije dziennikarskie: tém bardziéj, że mieszczą się one także już w kategorii drugiéj, zapełniając ją daleko pomyślniéj niż ów karp, o którym tylko co wspomnieliśmy.

Na nieszczęście, dowcipna nasza młodzież, co nawet mimo pozornego jakiegoś zapału do filozofii niemieckiéj, nie chce ani słyszeć o niemieckiéj pracy, wnet dostrzegła i pogoniła za tą ponętną łatwością.

Niedawno młody jeden chłopczyna przyniósł na sąd swojego dawnego nauczyciela pierwszą swą pracę literacką. Była to naturalnie *recenzija*.

Pan Halski już oswojony z tym dziwnym początkiem naszych występujących pi-

sarzy, wzruszywszy zlekka ramionami, przeczytał najcierpliwiéj przyniesiony artykuł, i rzekł od serca autorowi:

— Wierz mi, Stasiu, że do żadnego z naszych pism perijodycznych, które ceni swą godność, zakreśliło sobie dążność sumienną i nie wyręcza się lada zdarzoną ramotą, artykuł twój nie będzie przyjętym. Jest on tak odzywający się osobistością, tak nastrzępiony łoźnémi terminami metafizyki niemieckiéj, tak pełen pretensji szkolnych i jakiegoś junactwa godnego litości, tak niedójrzały — daruj mi nawet — niedorzeczny — że chyba go poszlesz do *Biblioteki?*

— I nie, proszę Pana — odpowiedział Staś naiwnie — tam potrzeba iść przez *wota*: a więc mogę być prawie pewnym, że mię przekréskują!

427.

Rejent * człowiek dowcipny z postanowienia, przynosił codzień jakieś *wręcz* ciężko obmyślane, czaił się z niém do stosownéj chwili, i dawszy z nienacka ognia, wycofywał się uszczęśliwiony.

Raz, gdy nader wcześnie pierwszy śnieg wypadł, i można było łatwo przewidzieć, że będzie mowa o zimie, zacny Rejent przygo-

towany do strzału, czekał niecierpliwie, aby go tylko zaczepiono. W rzeczy samej gospodyni zmuszona naradzać się raz po raz że swoimi gośćmi o tém, co też to będzie? że śnieg już wypadł! i tak nadspodzianie! i taki obfity! i takiéj przykrej oczóm białości! i t. d. — spytała z kolei i Rejenta: co też ta zima sobie myśli, że tak wcześnie zaczyna się opiekować!

— Gość ten, Pani Dobrodziko! — odpowiedział wiecznie dowcipny Rejent — nie zabawi u nas nad kilka godzin! wiem za rzecz pewną, że dąży on na północ, i jest tu tylko popasem.

Po tych słowach, zdradziecki Rejent zabierał się już do laski i kapelusza.

Ale Pan S. który go miał na oku, rzekł nielitościwie:

— „Dalibóg Rejencie, możesz pozostać!“

428.

Inny Rejent *biesiadował* długo: „o świątłych i ciemnych kolumnach duchów, o ich gatunkowej ciężkości, o nieuchronnej kolei na drodze postu górnych wyrobów“ i t. d. — nakoniec najniespodzianiéj zaczął wnosić toasty.

— Jak to się można pomylić, nie mając dosyć cierpliwości! — rzekł ktoś ze słuchaczów — zdało mi się, że podobne brednie powinnyby się kończyć jakąś kąpielą Greffenbergską, a przynajmniej sporém wiadrem wody: a widzę, że się rozwiązują po ludzku, bitym sposobem naszej sławnej palestry!

429.

Ludzie posiadający talent upatrywania wad a pomijania zalet, mają znakomitego przodka w tym starożytnym malarzu, który nie lubiąc tęczowych barw ptaka Junony, same tylko pawie nogi rysował przy wizerunku bogini.

KONIEC.

Golarski